Tygodnik Illustrowany

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO"
W WARSZAWIE i z przesyłką pocztową: kwartalnie Mk. 35.
W GALICJI: kwartalnie Kor. 60. numer pojedyńczy Kor. 6.
Za granicą: kwartalnie Mk. 50.

Zmiana adresu 50 fen.
Ozdobna okładka do rocznika Mk. 13.50.
Z przesyłką pocztową Mk. 15

CENY OGŁOSZEŃ: wiersz nonp. na 1 str. okładki Mk. 6.—, na dalszych Mk. 4.—; na ostat. Mk. 4.50, w rub. „Nadesłane" Mk. 12.—, kolum. ogł. ilustr. Mk. 2500.—; margines. na stronie 1 okładki Mk. 75.—, na dalszych Mk. 40.—, na ostat. Mk. 50.— w rubryce „Nadesłane" 60.—.

WARSZAWA, ulica ZGODA Nr. 12 Telefon Nr. 414.
KRAKÓW, G. GEBETHNER & S-ka RYNEK 22
LWÓW, E. SOKOŁOWSKA, Jagiellońska 7.

№ 5 OGÓLNEGO ZBIORU № 3,142 31 STYCZNIA 1920 R.

HAEMATOGEN Organiczny związek Żelaza, łatwo asymilujący się poleca Apteka **Mag. Farm. J. GESSNERA** Jerozolimska 25 w Warszawie

Wydawnictwa GEBETHNERA i WOLFFA
Prof. Szymon Askenazy
GDAŃSK a POLSKA

Świetna ta praca stanowi jedyny w języku polskim zarys dziejów Gdańska. Wymowne pióro znakomitego historyka stwierdza odwieczną polskość tego miasta i przyległych doń dziedzin Kaszubskich, opisuje krzyżackie gwałty i dobrowolne a ciężką ofiarą krwi i mienia dokonane połączenie się Gdańska z Polską, ze szczerem wzruszeniem przypomina żelazną jego wierność podczas „potopu" i za Stanisława Leszczyńskiego, kreśli niezachwiane trwanie przy Ojczyźnie za smutnych rozbiorowych czasów i ostatnią stuletnią niewolę pruską, która złamała coprawda, polskie sentymenty Gdańskie, ale pogrzebała zarazem odwieczny jego dobrobyt i znaczenie ekonomiczne. Z podziwem dowiaduje się czytelnik, iż jeszcze w 1848 i 1863 r. śpieszą orężnie kaszubscy rybacy na pomoc ginącej Ojczyźnie...

„Gdańsk nie był zabrany przez Polskę" — mówi autor — „lecz sam do niej przyszedł. Stało się to w myśl przyrodzonego, geograficznego, politycznego, gospodarczego i dziejowego rzeczy porządku. Stało się tylez dla dobra Gdańska co Polski. Oby tym samym własnowolnym trybem, ku obustronnemu dobru, stać się mogło obecnie."

Dzisiaj, gdy Gdańsk znowu jest bliski powrotu do Macierzy, znajomość dziejów jego jest obowiązkiem każdego polaka. Książkę prof. Askenazego polecamy też najgoręcej, pewni, iż uważny czytelnik z zapoznaniu się z nią wyniesie nietylko pogłębienie swej wiedzy o Polsce, lecz i szczerą przyjemność artystyczną.

Cena Mk. 11.—

NASZ SPISZ I ORAWA
Odczyt
Antoniego Langera Cena Mk. 1.80

UNIA POLSKI Z LITWĄ
Dokumenty i wspomnienia
zebra Henryk Mościcki

Spis rzeczy: Przedmowa. Akt Jagiełły i braci jego o związku Litwy z Polską. Znaczenie roku 1386. Unia Horodelska. Unia Lubelska. Przywilej Zygmunta Augusta. Testament Zygmunta Augusta. Zaręczenie wzajemne obojga narodów w r. 1791. Rok 1812. Adres reprezentantów Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy do Sejmu w roku 1831. Odpowiedź Sejmu na adres reprezentantów Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy w r. 1831. Obchód rocznicy Unii Lubelskiej w r. 1861 w Kownie. Odnowienie Unii w Horodle i Uściługu w r. 1861. Rok 1862. Rok 1863.

Cena Mk. 5.40

Sląsk Górny a Polska
Memoryał poufny niemieckich przemysłowców śląskich do **Bethmanna-Hollwega**
wydał i przedmową opatrzył **J. Juroff inż.**
Cena Mk. 3.50
Do cen powyższych dolicza się 10% dod. drożyź.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

CENTRALNA
Administracya Ogłoszeń
pism prowincyonalnych
załatwia najoszczędniej ogłoszenia do wszystkich pism na prowincyi.
Kosztorysy i źródłowe informacye o prasie prowincjonalnej.
Zgoda 1. Telefon 303-83.

Dr. W. KNOFF
(Choroby NERWOWE i WEWNĘTRZNE)
przyjmuje od 6 do 7. Wilcza № 46 (róg Wielkiej). Tel. 11-74.

Dr. F. ROSTKOWSKI
Lekarz asystent Szpit. Ś-go Łazarza
Chor. wener. skór. i anal. krwi na syfilis.
Od 5—8 w. Żelazna 84 m. 3. tel. 237-21.

Lekarz Dentysta **W. ZAWIDZKI** (z Moskwy)
b. asys. Polikliniki A. Koerbitza w Berlinie
Spec. prostowanie zębów
Poniedziałki, środy, piątki 12—1 i 4—5.
WIDOK 22 m. 22.

ZE ZMARSZCZKAMI
piegami i złą cerą pań nie będzie Panie, chcące pozbyć się zmarszczek, piegów, mieć naprawdę ładną cerę, pofatygują się od 11 do 5; pracujące panie— w niedzielę 2—7-ej. Hoża 41—7
Paderewska-Gladych.

SPECJALNY SKŁAD NACZYŃ EMALJOWANYCH i CYNOWANYCH TOW: SPÓŁ: „FERRAMENTUM" WARSZAWA 4. TEL. 184-33. KREDYTOWA

Wydawnictwa GEDETHNERA i WOLFFA
ZOFIA BUKOWIECKA
Jak się dusza budziła w Józiu
Opowiadanie dla młodzieży z 6-ciu rys. Ant. Kamieńskiego. Wyd. 3-cie.
W opr. karton. z dod. droż. Mk. 12.10

FRANCES HODGSON BURNETT
MAŁY LORD
Powieść dla młodzieży.
Tłómaczyła z angielskiego M. J. Zaleska
Wyd. 5-te z 6-ciu rycinami.
W opr. kart. z dod. droż. Mk. 11.—

ZOFIA URBANOWSKA
KSIĘŻNICZKA
Powieść uwieńczona nagrodą konkursową
Wyd. 6-e z 12-tu rysunkami.
Cena bez opr. z dod. droż. Mk. 15.40
w opr. kart. „ „ „ 22.—

ALEKSANDER hr. FREDRO
WYBOR POEZYI
Z portretem autora.
W ozd. opr. z dod. drożyzn. Mk. 8.60

Kazim. Przerwa - Tetmajer
WYBOR POEZYI
Czwarty
W ozd. oprawie z dod. drożyźn. Mk. 33.90



BÓL GŁOWY i MIGRENĘ
momentalnie usuwa tylko CITRO-MIGREN
prowizora farm. Henr. Chodakowskiego
Żądać wszędzie

Wydawnictwa GEBETHNERA i WOLFFA
Ostatnie powieści
Kazimierza Glińskiego:
Bonawentura Dzierdziejewski
Powieść obyczajowa z czasów Stanisławowskich, spisana z opowiadań ojca autora
Cena z dod. droż. Mk. 16.50

MĄŻ KRWAWY
Powieść historyczna z czasów Kazimierza Wielkiego
Cena z dod. droż. Mk. 9.90
Do nabycia w wszystkich księgarniach.

Księgarnie GEBETHNERA i WOLFFA
otrzymały na skład główny:
KALENDARZ ROLNICZY
Centralnego Towarzystwa Rolniczego
na rok 1920
pod redakcyą D-ra Marcelego Różańskiego
Wydawnictwa rok XII Cena za obie części 25 marek

KALENDARZ
Towarzystwa Przeciwgruźliczego
1920 Cena Mk. 6.—

Księgarnie GEBETHNERA i WOLFFA
Mieczysław Baranowski
Dydaktyka uzupełniona „Zasadami logiki"
do użytku seminaryów nauczycielskich i nauczycieli szkół ludowych. Wyd. 8-e. Mk. 7.50

PEDAGOGIKA
do użytku seminaryów nauczycielskich i nauczycieli szkół ludowych. Wyd. 10-te przygotował Dr. Fr. Majchrowicz. Mk. 8.—

Dr. Fr. Foerster
Wychowanie człowieka
Książka dla rodziców, nauczycieli i kapłanów. Z 3-go wyd. niem. tłomaczył W. Osterloff. Mk. 24.—

Szkoła i Charakter
Przyczynek do pedagogiki posłuszeństwa i do reformy karności w szkole.
przekład Mary Łopuszańskiej
Wydanie nowe. Z przedmową Anieli Szycówny
Cena Mk. 7.—

O potrzebie reformy szkoły średniej dla dziewcząt
napisała Julja Kisielewska Cena Mk. 3.—

WYCHOWANIE OBYWATELSKIE I OŚWIATA POWSZECHNA
Z pism współpracowników komisji edukacyi narodowej dla seminaryów nauczycielskich i wychowańców
ułożył W. Osterloff Cena Mk. 8—
Do cen powyższych dolicza się 10% dod. drożyź.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

BIURO TECHNICZNE **Słubicki i Felsz** WARSZAWA sienkiewicza 5 TELEFON 224-58.
Wszelkie wyroby gumowe, kauczukowe, asbestowe. Artykuły techniczne i przybory rowerowe. składzie HURT i DETAL.

MIESZANINY LITERACKIE.

„A SŁOWO CIAŁEM SIĘ STAŁO".

(Zdumiewające jasnowidzenie).

Wiemy wszyscy o dwóch przepowiedniach natchnionych: Skargi, co do upadku Polski, i Mickiewicza, co do wskrzeszenia Ojczyzny w dobie wojny powszechnej (artykuły polityczne poety: „Konstytucya 3-go maja").

Nie każdy jednak z nas dokładnie pamięta trzecie, jeszcze bardziej zdumiewające proroctwo natchnionego syna Polski, również całkowicie spełnione, właśnie w r. b., nb. w najdrobniejszych szczegółach, całkowicie.

To przepowiednia księdza Szymona Starowolskiego (1588 — 1656 r.). Obok kazań sejmowych Skargi, obok najwyższych natchnień patryotycznych w. XIX, postawić trzeba Starowolskiego „Lament Matki Korony Polskiej, już już konającej, na swoje syny wyrodne".

Niech zresztą czytelnik sam to osądzi. W r. b. właśnie możemy w całej pełni widzieć ogrom daru proroczego tego polskiego kapłana.

Początek „Lamentu" zawiera wyliczanie dobrodziejstw, któremi Matka Korona Polska obdarzyła swych synów.

Przechodzi z kolei autor do wyliczania grzechów polskich, do groźby kary za nie. Groźba ta jeszcze straszniejsza, jeszcze bardziej wstrząsająca, niż nawet u Skargi.

„Ale nie dość na tem! Będzie wam jeszcze gorzej — mówi zbolała Matka Korona. — Spadną na was kary jeszcze sroższe. Odbierze wam Pan Bóg i ludzi, zdolnych do rządu, i ludzi, zdolnych do boju, i mędrców, i kaznodziejów, boście ich nie warci, boście ich zmarnowali..." Słowem, w XVII-ym w. — wieszcze proroctwo na stulecie następne, na wiek Sasów.

Ale oto i przepowiednia, szczyt jasnowidzenia i na w. XIX: „Rozproszą się, jako mrówki, Lachowie nasi — mówi Matka Korona Polska — a ziemia ich pójdzie na szarpaninę różnym narodom".

Oburzenie na synów wyrodnych wciąż jeszcze wzrasta, głos Matki staje się coraz surowszym. Koniec końców jednak zbolała srodze Matka mięknie: Korona Polska zwraca się już nie do synów-grzeszników, lecz do Stwórcy.

Dalszy ciąg „Lamentu" świadczy o jej wzruszeniu i jej tkliwości dla swych synów, groźby przeistoczyły się w prośby, gniew — w płacz, w lament. Matka *broni* swych synów, choć przedtem, konając, błogosławić ich nie chciała.

Zwracając się do Boga miłosiernego, żali się: „Cóż, Panie, synowie uczynili, żeś ich dał na pośmiewisko narodom wszystkim, pod jarzmo nieprzyjaciołom?"

Bóg taką daje odpowiedź Matce Koronie Polskiej: „Gdy nieprawości tego ludu tak cię wysmażą, że zostanie jeno brant *) cnoty chrześcijańskiej, wtedy *przywrócę mu ludzi poważnych i mądrych, a sąsiadów krzywoprzysięgłych poskromię*".

„A sąsiadów krzywoprzysięgłych poskromię". Czyż można było dokładniej, szczegółowiej przewidzieć w w. XVII-ym to, co się właśnie stało w r. 1918—19?!

Ks. Starowolski wieszczym swoim głosem wyprorokował nam, „gdy się nieprawości polskie wysmażą", nie tylko restytucyę Polski zdławionej, lecz i — poskromienie sąsiadów krzywoprzysięgłych. Teraz snać wysmażyły się na „brant" nieprawości polskie.

Stało się. Wszyscy trzej nasi oprawcy niegodziwi runęli, sąsiedzi krzywoprzysięgli leżą dziś u stóp naszych.

W Panteonie pamiątek polskich, w skarbnicy piękności naszych narodowych, „Lament" winien zająć jedno z pierwszych miejsc, nb. nie tylko przez wzgląd na nadzwyczajne natchnienie patryotyczne swego autora, lecz i dla swych zalet i literackich. To jeden z najwspanialszych pomników wymowy, to wstrząsający wyraz boleści i zgrozy duszy polskiej.

Ks. Starowolski, jak wiadomo, w innych swych dziełach nie wykazał ani większego talentu, ani daru słowa. Dopiero w „Lamencie", na schyłku swego życia, wzniósł się tak wysoko, odezwał się tak potężnie, że od Skargi do Mickiewicza włącznie nie masz u nas nikogo, kto by tak zdołał przemówić.

Prof. Stan. Tarnowski w swej „Historyi literatury polskiej" w tomie II, str. 270, mówi o „Lamencie" między innemi: „Starowolski napisał go podczas oblężenia Krakowa przez Szwedów, może tego samego dnia, kiedy Karola Gustawa musiał oprowadzać, jako kustosz katedry, po naszej świątyni starodawnej. Równego temu bólu patryotycznego nie wydała literatura polska ani w wieku XVII-ym, ani w następnym. Przez ból i żałość podniósł się Starowolski tak wysoko, że sam Skarga nie mógłby lepiej przemówić".

Natchnione proroctwo polskiego kapłana-patryoty szczególnej wagi nabiera właśnie w r. b., gdy się spełniło całkowicie: dar wieszczy ks. Starowolskiego teraz jeno może podziwiać i korzyć się przed nim powszechność polska, tem skwapliwiej i goręcej, że, czcząc innych Proroków Narodu, o tym nieomal całkiem zapomniała.

A. Ł.

*) *Brant* = złoto lub srebro czyste, wytopione, szczere. (Słow. jęz. pol., I, 201).

KURYER LITERACKI.

— *Janusz Domaniewski. Zoologia.* Podręcznik dla szkół średnich. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1920.

Podręcznik niniejszy zawiera całokształt wykładu zologii, wymaganego dla szkół średnich. Na pierwszych stronicach autor wykłada pokrótce pojęcia i wiadomości zasadnicze o komórkach i tkankach wszelkiego rodzaju, o krwi i limfie, potem o układach i organach ciała zwierzęcego, dalej o funkcyi rozmnażania w różnych jej objawach, wreszcie o zasadach klasyfikacyi. Pozostałą znaczną część książki wypełnia wykład systematyki zwierzęcej, od form najniższych (jednokomórkowych pierwotniaków) do najwyższych (gromad ssaków). Wykład jest jasny, przystępny, a przytem ilustrowany licznymi wyraźnymi rysunkami, których jest przeszło 200.

— *Antoni Bolesław Dobrowolski. Podstawy ideologii polskiej.* Warszawa, 1920. Wydawnictwo M. Arcta.

W krótkim zarysie autor kreśli drogi ideologii polskiej, zaczynając od scharakteryzowania warunków, sprzyjających powstaniu swoistej ideologii polskiej, geograficznych i politycznych, potem przechodzi do samych jej podstaw w pięciu punktach, w których streszczają się główne tendencye naszych dziejów i nasze pojęcia polityczno-społeczne, kończy wreszcie, porównywając naszą demokracyę wybitnie szlachecką z mieszczańską demokracyą Zachodu.

— *Jan Wojnicz Sianożęcki. Algebra* w zakresie szkoły średniej. Cz. I-a. Pierwsze cztery działania na funkcyach całkowitych i ułamkowych. Z 45 rysunkami w tekście. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1919.

Podręcznik niniejszy przeznaczony jest na dwa pierwsze lata nauczania algebry w szkołach średnich, t. j. na klasę III-cią i IV-tą, obejmuje działania początkowe na liczbach i funkcyach wymiernych stopnia pierwszego, a prócz tego jeszcze naukę o nierównościach oraz równaniu nieoznaczonem stopnia pierwszego. Autor ma na celu ułatwianie uczniowi oryentowania się w dziedzinie różnorodnych liczb i stopniowe rozszerzanie tej dziedziny przez wdrażanie do ścisłych definicyi i dowodzeń, przez przyzwyczajanie ucznia do myślenia funkcyonalnego, wreszcie przez posługiwanie się w szerokiej mierze interpretacyą geometryczną różnych związków liczbowych.

— *Tadeusz Radliński. Geografia Polski* ze 134 rysunkami. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1919.

Autor licznych podręczników do geografii powszechnej ogłosił obecnie drukiem geografię kraju ojczystego, oparłszy ją na tych samych, co i tamte, podstawach metodycznych. Zachęca więc ucznia do samodzielnego myślenia i samodzielnej pracy przez umieszczenie na początku każdego rozdziału pytań zmuszających do zastanawiania się, do studyowania map i wykresów, do rozwiązywania rozlicznych pobudzających myśl zadań i zagadnień i t. p. Podręcznik, bogato ilustrowany, przeznaczony jest dla klasy IV i V-ej szkół średnich.

— Dr. *Regina Fleszarowa. Nasze góry.* Książka, wydana staraniem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, pod redakcyą Aleksandra Janowskiego. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1919.

Pod pięknem hasłem: „Polska to wielka rzecz", z inicyatywy Polskiego T-wa Krajoznawczego, p. Aleksander Janowski rozpoczął wydawnictwo cyklu p. t. „Nasz Kraj". Cykl ten składa się z niewielkich książeczek z ilustracyami, obrazujących różne okolice naszego kraju, jego bogactwa i jego piękności. Wedle zapowiedzi redaktora, cała biblioteczka będzie dawała pewien całokształt wiadomości o Polsce, tak bardzo potrzebnych ludowi, któremu przez sto lat zabraniano mówić i pisać o kraju ojczystym. № 6-ty „Naszego Kraju" zawiera barwny i zajmujący opis naszych gór, pióra p. Danesz-Flaszarowej. Biblioteczka, przeznaczona dla bibliotek szkolnych i ludowych, ma za zadanie szerzyć miłość kraju rodzinnego w tych kołach społecznych, do których książki tego rodzaju dotąd jeszcze nie docierały.

— *Zasady pisowni polskiej*, ułożone przez wydział filologiczny Akademii Umiejętności w Krakowie na konferencyi w dn. 5-ym stycznia 1918-go roku i wyłożone jako uchwała Akademii Umiejętności. Warszawa, 1919. Wydawnictwo M. Arcta.

Zwięzły wykład nowej ustalonej pisowni w 17 punktach, ułożonych przez Akademię Umiejętności i przyjętych jako obowiązujące przez wszystkie nasze instytucye rządowe, zrzeszenia naukowe i nauczycielskie.

— *Lucyan Zarzecki. Nauczanie matematyki początkowej.* Część I-a. Liczba całkowita. Wydanie 3-cie, uzupełnione i powiększone. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1919.

Książka niniejsza ukazuje się w trzeciem już, poprawionem i uzupełnionem wydaniu, podzielona na trzy części: pierwszą poświęcono nauczaniu liczby całkowitej, drugą — wymiernej, trzecią — geometryi. Dotąd ukazała się w nowej przeróbce część pierwsza, obejmująca nauczanie przedszkolne arytmetyki, oraz cztery lata szkolnego nauczania. Autorowi nie chodzi bynajmniej o podawanie drobiazgowych przepisów metodycznych, gotowych schematów, ale o wyjaśnienie zagadnień zasadniczych. Dzieło to w rękach inteligentnego nauczyciela matematyki może oddać niemałą przysługę, wskazując mu nowe drogi metodyczne, żeby umiał nie tylko nauczać dzieci mechanicznego liczenia, ale rozwijał i budził ich myślenie.

D-r *S. Składkowski*, major. Podręcznik hygieny wojskowej dla oficerów i podchorążych. Wydawnictwo Instytutu Wojskowego Sztabu Generalnego.

Wśród naszej literatury wojskowej, która nagle wyrosła z pod ziemi, jak samo wojsko, i zawiera już dzisiaj dość znaczną liczbę dzieł poważnych i dziełek popularnych, brakło dotychczas pracy o hygienie żołnierskiej, tej niezmiernie ważnej dziedzinie życia wojskowego. Lukę tę zapełnił obecnie dr. Składkowski, wydając niniejszy podręcznik, zawierający dwie części: o budowie i czynnościach ciała ludzkiego, cz. I, oraz o hygienie służby wojskowej. Ta ostatnia część mówi o takich przedmiotach, jak znaczenie i podział służby wojskowej, komisye poborowe i zdolność wojskowa, wyćwiczenie żołnierza i służba frontowa, czynniki chorobotwórcze i choroby zakaźne, hygiena osobista żołnierza, jego odżywianie, ubiór i rynsztunek, hygiena koszar, pierwsza pomoc przy zranieniach i nieszczęśliwych wypadkach.

BIBLIOGRAFIA.

Tymczasowa taryfa kolejowa na przewóz towarów, zwierząt żywych i zwłok kolejami państwowemi okręgów Warszawskiego i Radomskiego. Obowiązuje od d. 1-go listopada 1919 r. aż do odwołania. Warszawa, 1919. Nakładem Ministerstwa kolei żelaznych. Str 62 w 8-ce.

Stefan Nelski. Flaminiusz Sanga, tragedya w czterech aktach. Wiedeń, 1919. Drukarnia Karola Perschaka. Str. 67 w małej 4-ce w ilustrowanej okładce.

Nr 5

Ogóln. zb. № 3,142
Wydawnictwa rok 61.

31 Stycznia 1920 r.

Tygodnik Illustrowany



PAWEŁ DESCHANEL,
prezydent Rzeczypospolitej francuskiej, następca Poincaré'go.

BAŁKAN[n].

Bałkan w potędze niewiadomej. Niewiadomej dotychczas. Tym skrótem matematycznym: „Bałkan[n]" chcemy określić całość wydarzeń, jakie rozgrywać się zaczynają na przestrzeni od Bugu po Ocean Spokojny, od granic etnograficznych Polski aż po Władywostok.

Cała ta olbrzymia przestrzeń świata stoi wobec historyi jako spotężniały aż do potworności chaos polityczny i narodowy, chaos, przypominający przysłowiową gmatwaninę stosunków bałkańskich, ale przypominający *in plus*, bo jeszcze bardziej zaostrzoną, jeszcze bardziej skomplikowaną i stokroć groźniejszą.

Pamiętamy wszyscy ową legendarną Macedonię na Bałkanie, o której Bułgarzy mówili, że jest krainą wyłącznie bułgarską, Grecy przysięgali się, że niema w niej ludności innej oprócz greckiej, a Serbowie zadawali kłam jednym i drugim i rozstrzygali spór niezłomną przysięgą, iż wszyscy oni, czy to Bułgarowie czy Grecy, są czystej krwi Serbami. Taką Macedonią przyszłości stają się coraz wyraźniej ziemie białoruskie i ziemie ukraińskie.

Biała Ruś kilkaset lat należała do rzeczypospolitej polsko-litewskiej i dzisiejsza wola jej mieszkańców skłania się coraz wyraźniej do jedności z rzeczpospolitą polską. Niezależnie jednak od tej przeważającej, jak się zdaje, opinii i nastrojów społeczeństwa, istnieje tam grupa ludzi, którzy głoszą, że Biała Ruś niczego innego nie pragnie, jak tylko absolutnej samodzielności. W przeciwstawieniu do tego nie zamarła i nie ucichła koncepcya rosyjska, która zaprzecza istnienia narodu białoruskiego, nawet narzecza białoruskiego —i proklamuje te ziemie, jako wyłącznie rosyjskie. Nie trzeba zapominać, że nacyonalizm litewski uważa znowu Białą Ruś za prawowitą część państwa litewskiego. Trudno o większe powodzenie!

Prawie analogiczne stosunki—na Ukrainie. Pokój brzeski, zawarty między Niemcami, jako takimi, i Niemcami, jako bolszewikami, stworzył koncepcyę, czy konjunkturę, którą nazwano państwem ukraińskiem. Pokój brzeski był tym fenomenem historycznym, który jako rzekomych przeciwników-kontrahentów sprowadził do wspólnego stołu dwa oblicza jednej i tej samej siły, jednego i tego samego zamiaru, jednego i tego samego celu. Akt pokoju podpisywali Niemcy i Trotzki, czyli Niemięc, wysłany do Rosyi w celu zniweczenia potęgi Rosyi. Akt brzeski był właściwie tylko ratyfikacyą układów zawartych z Leninem, Trockim i rewolucyjnym semityzmem znacznie wcześniej, bo wówczas, kiedy ci przyszli dygnitarze sowieccy byli jeszcze zwyczajnymi nędzarzami i włóczęgami. Dano im pieniądze niemieckie, a oni wzamian podjęli się tak urządzić Rosyę, by Niemcy nawet zwyciężone mogły mieć z tych obszarów swoją przyszłą kolonię. W tym celu trzeba było przedewszystkiem odsunąć kraje ex-cara o ile możności od morza, pozbawić Odessy i wyeliminować z całości obszarów rosyjskich połać ziemi najbujniejszą: Wołyń, Podole i Kijowszczyznę. Cokolwiek się da powiedzieć o wartości, a raczej bezwartości moralnej wodzów bolszewickich, należy im przyznać, że Niemców nie oszukali. Zapracowali swój grosz uczciwie: podpisali fakt stworzenia państwa ukraińskiego, a w dalszym ciągu, bez przerwy widzimy, że z całą rzetelnością robią z Rosyi przyszłą kolonię dla Niemiec: przemieniają ją w pustynię.

Uporem jednak byłoby twierdzić, że konjunktura ukraińska, poczęta w Brześciu, nie udała się. Upadł Skoropadskij, formacya niemiecka, ale po nim przyszedł Petlura, formacya już szczerze ukraińska, bo wybitnie hajdamacka. Przed rokiem na tem miejscu pisałem, iż myśl polityczna polska nie docenia talentów politycznych tego następcy Chmielnickiego. Rzeczywistość potwierdza moją tezę ówczesną. Petlura umiał przetrzymać i walkę z Polską i mniej lub więcej szczere zatargi z bolszewikami i bardziej już seryo wojnę z Denikinem. Umiał być równocześnie antagonistą Niemców i ich prawą ręką. Na początku roku 1919 Ukraina była ściśle wewnętrznem zagadnieniem niemiecko-bolszewickiem, dziś stała się problematem międzynarodowym. Aż nadto jasne jest, że sprawa państwowości ukraińskiej zaprzątnęła już umysły i pomysły członków konferencyi pokojowej.

Petlura zdołał więc posunąć sprawę Ukrainy na polu politycznem. Niewiadomo, czy w takiej samej mierze uda mu się na polu *faktycznem*, to jest, czy przekona o potrzebie samoistności Ukrainy swoich własnych rodaków tak, jak przekonał cudzoziemców. O tem bowiem, że trzydzieści kilka milionów Ukraińców pragnie kategorycznie państwowości własnej, Europa słyszy stale od trzydziestu kilku działaczów politycznych. Reszta społeczeństwa, jak dotychczas, pragnie ziemi pańskiej, nafty, soli i bodaj cara, jako uosobienia władzy. Armie t. zw. ukraińskie z dziwną beztroską przeistaczały się w szeregi bolszewickie, gdy bolszewizm dawał większe widoki renty wojennej, vulgo rabunku, a coś prawdy psychologicznej jest może w tej anegdocie o chłopie wołyńskim, który twierdził z melancholią w głosie: „przecierpieliśmy Moskali, przecierpieliśmy Niemciw, Awstrijciw, cierpimy Lachiw, aby tylko jeszcze przecierpieć samostijną Ukrainę". Nie da się więc ryczałtowo zawyrokować, że nadużyciem prawdy ze strony Rosyan jest, gdy twierdzą, że Ukraina jest niepodzielną częścią Rosyi.

Ukraina, jako poczucie samoistności narodowej, nie istnieje jeszcze może. Ale któż może zaręczyć, że poczucie to nie powstanie w masach ukraińskich? Do powstania takiej świadomości przyczynić się może przedewszystkiem Rosya. O ile natychmiast i bez odwłoki nie nastaną w niej stosunki praworządne, dopóki będzie ona nadal i przez lata całe terenem przerażających eksperymentów socyalnych, dopóki światu dawać będzie widowisko niemocy narodowej, jakiej nie znały dzieje, dopóty nie może być mowy, by jakakolwiek uczciwa i troskliwa polityka ościenna nie zadała sobie pytania: czy nie lepiej jest ocalić choć tę część byłej Rosyi, która się nazywa Ukrainą, od infernalnych zaburzeń sowieckich? Czy nie lepiej jest choćby sztucznymi sposobami stworzyć nowe państwo, jeśli jest cień nadziei zachować je dla cywilizacyi i praworządności?

Starczyłoby zagadnienia białoruskiego i problematu ukraińskiego, by historya wiedziała, że ma do czynienia z nowym Bałkanem. To już nie kocioł bałkański jednak, to cała gorzelnia, w której—Ukrainę tu przedewszystkiem mamy na myśli—w której nieskoordynowane chucie narodowe warzą trunek polityczny dla unieprzytomnienia przyszłych dziejów. Bałkanizm powojenny nie kończy się jednak na prawym brzegu Dniepru. Cała Rosya, tak europejska jak i azyatycka, wpadła w ten przerażający zacier, z którego odurzające wyziewy idą na cały glob. Na przestrzeni od Dniepru po Kamczatkę idzie spór nie o narodowość już tego kraju, lecz o *przeznaczenie* jego historyczne, nie o to, do jakiego państwa ziemie owe należeć mają, lecz jaką *ludzkość* w sobie chcą hodować. Chryst czy Antychryst? jakby postawił kwestyę pisarz tego kraju, Mereżkowskij.

Niewiadomo w jakie dale przedhistoryczne sięgnąćby trzeba, by wynaleźć epokę dorównywającą epoce z okrucieństwami bolszewickiemi. Ani rewolucya francuska, ani powstania chłopskie średniowiecza, ani męczeństwa chrześcijan, ani najścia Attyli i Dżengis-chana nie mogą pretendować o taką masowość i taką precyzyę w przelewie krwi, jakiej dokonywa Bronstein-Trockij, Nachamkes, Stiekłow, Dzierżynskij, Sobelsohn. Bestyalizm, nieznany chyba światu, zużywa nowożytną technikę na walkę z bezbronnymi. Już to zdziczenie, ten gwałt apokaliptyczny, już ta zbrodniczość starczą, by w człowieku cywilizowanym wywołać panikę na myśl o bolszewizmie. A jednak to wszystko jest dopiero symptomatem zamierzenia jeszcze straszniejszego i stokroć ważniejszego. Tem zamierzeniem jest zamach na cywilizacyę aryjską, czyli inaczej: chrześcijańską. Gdyby sobie można skonstruować pojęcie oszalałego od zemsty Jehowy—to konkret tego pojęcia zobrazowałby się w działaniach bolszewizmu. Nienadarmo już prorocy Starego Testamentu rzucali gromy na „bogaczów". Nienadarmo już to, co było idealizmem Izraela, miało nieodmiennie charakter opętania. Tą cechą szału i piany różni się idealizm semicki od idealizmu naszego. Nienadarmo przez dwa tysiące lat Żydzi całego świata zamykali w podziemiach uczucia swoje poniżenie, swoje upokorzenia i swoją pogardę rasy starszej do ras lekkomyślnych, by kiedyś ta zdławiona, przyczajona do skoku nienawiść nie miała się rzucić tygrysim pędem po krew i krwiożerstwo. Wszystko, co było w Ezechielu i Izajaszu, wszystko, co było w płaczu ludu po utracie Jerozolimy, wszystko, co z błota poniżających wędrówek wygnania przylegało do ran uciekającej nogi Żyda; wszystko co osiadało na duszy w nieprześwietlonych promieniem słońca ghettach średniowiecznych, wszystkie poprzysięgi odwetu czynione szeptem tak dojmującym, że je słyszą najdalsze pokolenia; cała od Spinozy filozofia wywrotu i cała wywrotna umysłowość, cały smutek istnienia żydowskiego i cały determinizm czynu—wszystko to zeszło się i zcaliło w kaliguliczny fenomen bolszewizmu i rozpętało się w hasło: śmierć światu aryjsko-chrześcijańskiemu!

Rosyę wybrano na początek dlatego, że z góry obliczono, iż jest najsnadniejszym terenem eksperymentu. Jako dalszy cel postawiono nieskrycie: wszystkie społeczeństwa białe. A jako środek? Czy tylko czerwona gwardya Rosyan? Te garstki Chińczyków, które czasem widzieć można na stacyach naszych kolejowych, wśród jeńców bolszewickich, te przedziwnie apatyczne żółte twarze z wyrazem trupiego zrównoważenia w geście, a dręczącej zagadki w oczach, ten egzotyczny, znieruchomiały świat, zaprzątnięty do współdziałania z generalissimusem Trockim—czy nie przemawia do wyobraźni naszej, jako jakieś głuche ostrzeżenie?

Republika sowietów wie, że nienawiść do rasy białej drzemie w milionach Azyatów. Naczelnicy tej republiki wiedzą to z własnej samoanalizy. Próba wywołania wrzenia w Indyach to dopiero krok pierwszy. Krokiem następnym może być przerzucenie agitacyi poza Ałtaj i Amur. O tem ani na chwilę nie powinna zapominać rasa biała.

Jan z Marnowa

LEOPOLD STAFF:

Z „ŚCIEŻEK POLNYCH".

ŚPIEW ŻNIWIARZY.

„Bronzowi, jako ziemia, silni i spokojni,
Z bogobojną powagą dawnych apostołów,
Niegdyś siewcy łagodni, towarzysze wołów,
Dziś twardzi wojownicy żelazem kos zbrojni,
W łan żrały się wrzynamy na sierpniowym
skwarze".—
Tak pośród pól śpiewali kroczący żniwiarze.

„Na zbóż słonecznem złocie w własnych cieniów
plamach
Przykazany wzór mamy zgody wspólnym rzędem.
Przejęci religijnym mozołu obrzędem,
Puszczamy krzywych ostrzy błysk w szeroki zamach,
Wszystkie ramioma w jednym kołysząc zamiarze".—
Tak pośród pól śpiewali schyleni żniwiarze.

„Wczesną wiosną, gdy odwilż śniegową oponą
Zakryte odsłoniła znów doły i gorce,
Wilżyliśmy skroń potem, trudząc dłonie w orce;
Potem sialiśmy ziarno, powłóczyli broną.
Dzień żniwa skąpe plony przynosi nam w darze".—
Tak pośród pól śpiewali cierpliwi żniwiarze.

„Ziarno liche i puste. Dla suszy lub słoty
Orzem. Dla gradu siejem. Marny kłos. A choćby
Sypnęło bujnym plonem, gdy w szopę dla młocby
Zwieziem użątek, często piorun krwawozłoty
Uderzy i dobytek zniweczy w pożarze".—
Tak pośród pól śpiewali stroskani żniwiarze.

„Nie dla nadziei zbiorów znoimy dłoń czynną,
Nie dla radości, by nam żyć dała weselnie.
Jeno aby pracować, jak ziemia, rzetelnie,
Jeno, że tak jest wiecznie i tak być powinno
W zbożnym ładzie przyrody, co żmudzić się każe".—
Tak pośród pól śpiewali niezłomni żniwiarze.

„Na zbiory skąpe żalów nie ślemy w niebiosy,
Gdy przystaniem, by spocząć, a wiatr czoło muska.
Bowiem ostrząc stępiałe narzędzie u bruska,
Niby znak ostrzegawczy, słyszymy dźwięk kosy
I blisko gdzieś niewidne śmierci czujem straże".—
Tak pośród pól śpiewali wzruszeni żniwiarze.

„Kto poprzez mur cmentarny raz spojrzał—
o zadość!—
Ten zawściąga pragnienia próżne i zbyt dumne.
Wszak cieśla w sam raz miarę weźmie nam na
trumnę,
Więc gdzieżbyśmy podzieli nazbyt wielką rodość?
Patrząc w swój plon, ku ziemi musim schylać
twarze".—
Tak pośród pól śpiewali znużeni żniwiarze.

POKŁOŚNICE.

Tak biednym być
Można na tej ogromnej i bogatej ziemi,
Że niejednemu ciemna matka nasza, Dola,
Co przędzie życia nazbyt długą nić,
Poskąpi nawet trudu. Bez nas kłos się plemi.
Jesteśmy stare, słabe i nie mamy pola.

Rąk święty trud,
Co pozwala dotykać ze czcią skiby bożej
I żyznym swoim potem rodną grudę rosić,
Nam odmówiony. Chodzimy, jak Rut,
Oczyszczać cudze pola o gaśnieniu zorzy.
Tym, co nie pracowały, i tak nazbyt dosyć.

Po przyjściu kos,
Kiedy się zagon ostrem ścierniskiem najeży,
Niespracowane idziem choćby w ślady pracy
Bosemi stopy i zbieramy kłos
Pominięty, bezpański, co ostał i leży,
Byśmy go, pokłośnice, podjęły lub ptacy.

Żywi nas trop,
Żywi sam ślad stóp pracy, która się mozoli.
Cieszy nas widok kopic, gdy żniwiarz przepasze
Powrósłem słomy złoty, obcy snop—
I wozów, co nie dla nas plon zwożą powoli.
Dzięki Ci, Panie, że nas cieszy, co nie *nasze*.

O Panie *nasz*!
Dzięki Ci, że gotujesz nam skromne wesele,
Nie zmuszając Litości pozbywać się chleba,
Że o nas, liche pokłośnice, dbasz
Przez nieuwagę innych, co mają zbyt wiele,
Że żyjem z tego, czego nikomu nie trzeba.

Niesiem Ci dzięk,
Że, nic nie mając, możem cenić, czego mało,
Kilka ziarn drobnych, bardziej, niż perły naszyjne:
Z wdzięcznością dzierżym w dłoni
kłosów pęk.
Najmniej biorąc, w pokłonach schodzimy ścierń
całą,
Pod niebem, co nas widzi, odwieczne, biblijne,

PIEŚŃ O MŁYNIE.

Czem prosty chleb,
Szary, jak chłopski kabał zgrzebny,
Tak zwykły i codzienny,
A bardziej niźli klejnoty, bezcenny,
Bo, jak powietrze i jak sen, potrzebny
Ten mąki zlep:
Ty o tem gwarzysz na naszej równinie,
Skrzydlaty młynie.

O, szmacie pól,
Tak jednostajny, płaski, a kochany,
Gdzie w słońcu kłos się rodzi,
A smętek z mgłami wieczorem się wodzi:
Pod stopy ścielcie się młynowi, łany!
Bo, jak miód ul,
On zbiera, siewcom i żniwiarzom bratni,
Wasz plon ostatni.

Szczęść tobie Bóg,
Biały młynarzu! Twe poczwórne wiosło
Wytwarza zgiełk bez miary.
Młodyś jest jeszcze, a siwyś, jak stary:
Osiwia ciebie tak twoje rzemiosło,
Stare, jak pług.
Sławiąc je, czynisz, muzykusie dziwny,
Hałas pożywny.

Szczęśliwy trud
Twój i wiatraka twojego, młynarzu!
Gdy takie cuda czyni,
Jakie jedynie dzieją się w świątyni,
Gdy chleb się zmienia w Ciało na ołtarzu.
Czyliż nie cud,
Co spełnia w sobie młyn na horyzoncie?
Hej, skrzydła, wiońcie!

Wam, którym wznieść
Wolno się w rozkosz najwyższą wszej pory,
W swobodę, w niebne loty,
Wyście się zrzekły swej dumnej tęsknoty,
Skrzydła jedyne, co pełne pokory,
Przez chleba cześć,
Przykułyście się do miejsca, najniżej,
Ziemi najbliżej.

Nieczuły głaz,
Tak nieużyty, twardy, co nie plemi,
Na który siewu ziarno
Padłszy umiera: przemienia się w żarno,
W spółpracownika słońca, dżdżu i ziemi
I w wiatru czas
Kamień jałowy, niby gleba tłusta,
Nakarmia usta.

I dziwów dziw!
Próżniak, włóczęga, co mu obca praca,
Co się bez celu wałęsa:
Wicher, dla chleba powszedniego kęsa,
Niby parobek pilny, młyn obraca
Wśród sennych niw,
By dziwić nazwą—zaszczyt nad zaszczyty!—
Wiatr pracowity!

TRÓJCA PÓL JESIENNYCH.

Pola ogłuchły. Wczora pełne gwaru,
Brzęku kos, śmiechów i śpiewu dożynek,
Dzisiaj zapadły w sen, jak mocą czaru,
W cichy spoczynek.

Sposępniał w ściernisk szarości popielnej
Zagon rozległy, opuszczony, goły.
Łany są, jakby po uczcie weselnej
Sprzątnięte stoły.

Jest jak nazajutrz po świątecznych godach:
Ranek nieraźny, oniemiały, ślepy.
Jeno gdzieś w dali po wiejskich zagrodach
Klekocą cepy.

Pięs na łańcuchu nawet nie zaszczeka
I gnuśnym członkom w budzie szuka dogód.
Czasami tylko poranny z daleka
Zapieje kogut.

A już za pługiem wychodzi na rolę,
Nie wyłuskawszy jeszcze ziaren z snopa,
Troska o jutro, która orze pole
I czoło chłopa.

Ziemia, co ludziom przyniosła zbóż plony,
Raczy i wierne oraczowi ptaki:
Po pokłośnicach zbierają też wrony
Tłuste pędraki.

I ciągnie orszak w porządku niemylnym,
Trójca pól naszych, świeżym brózdy torem:
Koń w pługu, za nim zgięty chłop, pod pilnym
Wrony dozorem.

□□

VIRTUTI MILITARI.



Uroczystość przypięcia orderu *Virtuti militari* w dniu 22-im stycznia r. b. członkom Kapituły tymczasowej tego orderu. Po udzieleniu przez J. Eksc. biskupa polowego wojsk polskich, ks. Galla, błogosławieństwa, przemawia do kawalerów orderu Wódz naczelny i Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski.



Kapituła orderu *Virtuti militari* z Józefem Piłsudskim na czele.

VIRTUTI MILITARI.



Kawalerowie orderu *Virtuti militari* przechodzą przed frontem kompanii honorowej Szkoły podchorążych.



Na stopniach komendantury podczas defilady wojska.

LISTY LITERACKIE.

□□

Prace Wacława Borowego.

Czytelnicy zeszłorocznych numerów „Tygodnika Illustrowanego" pamiętają zapewne dotychczas znakomite studyum o książce prof. Kallenbacha, napisane przez Wacława Borowego. Młody ten uczony tak nienatrętnie ukazuje się na łamach prasy, że po umieszczeniu tej jego krytyki odebraliśmy, wraz z gratulacyami, zapytanie, kim jest ten nieznany autor.

Sądzimy, że najlepszym sposobem odpowiedzi będzie podanie pobieżnej choćby wiadomości o dotychczasowych pracach tego autora, który, zdaniem naszem, jest jedną z najwybitniejszych sił młodego pokolenia krytyków.

*

Uczeń prof. Ignacego Chrzanowskiego, Wacław Borowy, wydał dotychczas trzy dopiero dzieła. Każde z nich nie obszerne na objętość, każde jeszcze rodzajem szkicu, ale równocześnie każde z nich obdarzone piętnem indywidualności, po której można rokować niepoślednie zasługi dla dziedzin, w których chce pracować. Pierwsze z tych dzieł, to studyum o Chodźce, książka mająca wszystkie jeszcze cechy pracy seminaryjnej, ale za to jakże gruntownej, jakiż zaszczyt przynoszącej mistrzowi, który kierował pierwszemi zamiłowaniami ucznia, który jego zdolnościom nadawał metodę. Ta metoda właśnie, którą możemy oceniać w książce o Chodźce, warta jest osobistej oceny. Zrzec się jej tu musimy dla braku miejsca. Nie sposób jednak nie zauważyć, że metoda ta prof. Chrzanowskiego nauczyła p. Borowego skrupulatnej ścisłości i oceniania zjawisk porównawczego, zestawiania dzieł i twórców z całokształtem epoki we własnej literaturze i w cudzych. Dzięki tym zasadom, już ta pierwsza, jeszcze jakby szkolna, praca młodego uczonego daje nam dokładny dowód erudycyi i umiejętności wżywania się w najróżnorodniejsze dziedziny literatury, mogące krytykowi przynieść filologiczny zysk.

Pszczelna ta robota filologa rozszerza się znakomicie w następnem dziele p. Borowego, w jego rozprawie o bajce starego Fredry: „Paweł i Gaweł". Jest to bodaj jedno z najlepszych, najbardziej zakończonych studyów, jakie mamy w naszej historyi literatury. Punkt wyjścia ten sam, który spotykamy we wszystkich bez mała zabiegach chirurgicznych naszej, a i niemieckiej przedewszystkiem, historyi literatury: rozkrojenie delikwenta i wybadanie z wnętrza, z czego rzecz została przepisana, „skąd ściągnął" autor, jakby powiedział gimnazyalista; potem analiza stylistyczna, niemal matematyczne szukanie wymiarów wiersza, cezur, rymów i rytmów. A jednak ta, nawskroś schematyczna w zasadzie, praca zajmuje i przykuwa czytelnika od pierwszej do ostatniej stronicy. Przedewszystkiem samo wykrycie źródła, z którego Fredro wziął pomysł, jest naprawdę zajmujące, co więcej: przekonywające, a więc nie zbyteczne w badaniach literackich, dalej owe geometrye prozodyi, które nam autor opisuje i rysuje, wskazują, jak ten młody człowiek umie wnioskować, jak ściśle i jasno myśli i ile umie wykryć czaru w mechanice sprężyn, skrytych w tempie i rytmie wiersza. Jakże godny czytania jest też rozbiór stylu i języka! A teraz rzecz najważniejsza: w poczuciu literackiem p. Borowego tkwi snadź wrodzona dyskrecya, która się u niego splata z instynktem rozsądku. Podziwiać należy, jak on, spełniwszy swoje odkrycie filologiczne, tak przecie nieobojętne, wyszukawszy w szpargałach literatury francuskiej istotnego „dziadka po kądzieli" fredrowskiej bajeczki, jak on umie zachować takt, artystyczny już, jak nie panoszy się swem odkryciem, jak czemprędzej wynurza się i poucza czytelnika, że wszelka taka operacya, jakiej byliśmy świadkami, choćby tak udatna, nie jest niczem decydującem w dyagnozie literackiej, gdy idzie o takich potentatów, jak Fredro. Taki wielmożny twórca, jak autor „Jowialskiego", nie poprzestanie nigdy na tem, by „ulec wpływom", on tylko spojrzy niejako na swój pierwowzór i potem snuje rzecz po swojemu, najzupełniej niezależnie. I oto praca p. Borowego kładzie szczególny nacisk na tę genialną niezależność Fredry—i tu są najlepsze, najświetniejsze karty traktatu, gdy młody uczony przeprowadza unaoczniającą analizę, jak to w dłoniach wielkiego poety rośnie nikły wątek francuskiego pierwowzoru, jakiego nabiera rumieńca oschła fabuła, jak się staje niemal arcydziełem to, co było zwyczajnem opowiadaniem, jak wreszcie opadają z cudzego szkieletu wszystkie obce cechy, jak temperament Fredry pełną garścią nakłada na obcy pion polskie ciało i polską krew. Po tych kartach poznajemy w p. Borowym rasowego krytyka literatury, jednostkę umiejącą się wżyć nie tylko w te litery i słowa, które widzi na karcie czytanej książki, ale w mózg i nerwy człowieka, który kartę ową napisał.

Na ostatnich kartach rozprawy przybywa wreszcie nowy element, nowa zaleta w usposobieniu p. Borowego. Oto zjawia się pewnego rodzaju liryzm naukowy. Z pod pióra młodego pisarza wyrywają się akcenty jakiejś serdeczności w stosunku do tej fredrowskiej bajeczki. Wyznaje jej, nie krępując się naszą obecnością, swoje uczucie—i w zwrotach bardzo udatnych, a prostych, a tkliwych. Studyum o „Pawle i Gawle", nic dziwnego, że tak się różni od tylu innych rozpraw historyczno-literackich: pisał je żywy, czujący człowiek. Najprzód w nim był widocznie ten żywy człowiek, tego żywego człowieka zaprzęgła metoda do naukowej gospodarki na zagonach literatury. Uprawa metodyczna wsiąkła w krew, ale nie zamordowała uczucia i *odczuwania*, bez których niemasz krytyki. Bez nich mamy tylko okazy podobne do roentgenowskich fotografii. Wszystko jest, i do tego wierne, arcywierne, arcyścisłe, wszystko, co patologiczne—wyświetlone; wszystko jest, okrom życia obrazu.

*

Kto w Polsce nie lubi Fredry, ale kto go „ceni" li tylko jako zabytek literacki, z kim ten stary Fredro nie współobcuje w uczuciach i w humorze, w rozsądku i w obserwacyach, ten mi się przedstawia jako rezydent na łaskawym chlebie u polskości, niby jest w tej polskości, nawet z niej żyje, ale ona nie jego, on nigdy jej prawym dziedzicem nie będzie. Kult p. Borowego dla Fredry może napawać jak najlepszą otuchą, że te najrdzenniejsze nurty polskiego piśmiennictwa znajdą w nim szczerego badacza i krytyka. Tem się też może różnić od plejady swoich rówieśników, którzy to przedewszystkiem uznają, co się Niemcom i semitom podoba.

Zdolność do badania fenomenów i zjawisk rdzennie polskich okazała się zaraz na następnej po „Pawle i Gawle" rozprawie p. Borowego. Tą następną rozprawą jest traktat o elemencie Łazienek w „Nocy listopadowej". Dwa te nazwiska: Fredro i Wyspiański—to pozornie dwie wyłączające się wzajem jednostki, biegunowo różne twórczości. A jednak łączy ich przecie nić polskości. Prosta ona i marsowata u Fredry, patetyczna i konwulsyjna u Wyspiańskiego, ale prakornórka:—wspólna. Fredro był ostatnim w wielkim stylu pisarzem wiejskim, a Wyspiański pierwszym w wielkim stylu pisarzem miejskim w Polsce. Fredro w zaciszu i spokoju sielskim wypatrywał ludzi polskich;—Wyspiański w zgiełku i gonitwie miasta patrzył na rzeczy polskie. Tamten ze swego materyału snuł *dusze*, ten—*idee*. Może bezwiedna, ale jest choćby przypadkowa logika, że ten najzdolniejszy z młodych krytyków literackich zwrócił się po Fredrze do Wyspiańskiego.

W studyum o Wyspiańskim dał dzieło najkapitalniejsze ze wszystkich swych trzech. Tu już jesteśmy świadkami, jak autor otrząsa się do reszty z nakazów zewnętrznych szkoły, jak już staje się sobą, jak się zaczyna zdobywać nie tylko na metodę, ale na śmiałość doskonałych spostrzeżeń, dociekań i uogólnień. I znowu studyum o „Nocy listopadowej" jest rzeczą pozornie filologiczną. Szukanie „wpływów" na Wyspiańskiego w realiach i w pięknie parku Łazienkowskiego. Ale cała filologia badania pokryta jest doszczętnie warstwą subtelnego wczuwania się w zawiłą twórczość autora „Nocy listopadowej". Nie to staje się w rozprawie ważnem, że taki lub ów posąg w pałacu Łazienkowskim wpłynął na powstanie tej lub innej postaci mitologicznej w poemo-dramacie Wyspiańskiego, lecz ważnym jest łańcuch spostrzeżeń o sposobach psychicznych, jakimi—wykazuje uczony—twórca dramatu przekuwał obcą rzeźbę na swoją poezyę. Nie poprzestaje pan Borowy na tem podstawowem założeniu; jego badania dają mu asumpt do wypowiedzenia się co chwila o poezyi i twórczości Wyspiańskiego. Na tle swoich zadań literackich pragnie ją chwycić, tę poezyę, i zdefiniować. Niektóre z określeń młodego krytyka pozostaną w literaturze o Wyspiańskim. Mam dwa zwłaszcza z tych określeń na myśli. Jedno, to tyle trafna uwaga, że „Noc listopadowa" jak i inne dramaty poety starają się treść poetycką wcisnąć w świadomość widza, słuchacza czy czytelnika nie samą precyzyą, ani stylem wiersza, lecz pewnym rodzajem sztuki, któryby się nazwać godziło *melodyą literacką*; pewne zwroty i pewne modyfikacye tych zwrotów są stałą grą i substytutem pojęć dramatycznych. („Laury zwiędły, a róże pomarły", jako refrain, jako ciągłe *przypomnienie* melodyjne, stały hypnotyzm pewnej zasadniczej idei). Drugiem takiem spostrzeżeniem, godnem uwagi, jest lapidarne powiedzenie, że w Wyspiańskim więcej było poety, niż pisarza, dlatego to nie wszystko, co ten większy poeta pomyślał, umiał oddać w słowach i w mowie ów mniejszy pisarz.

Oczywiście nikt, nawet sam autor nie może wymagać, by to jego studyum było doskonałością. Pan Borowy ma już za sobą znakomite stosunki z dziełami artystów, zna je i umie je poznać na wylot. Brakuje mu może jednak trochę bezpośredniej znajomości, zażyłości, obserwacyi wewnętrznej żywych artystów. Nie dość mu jasnem jeszcze to, co jest niespodzianką w twórczości artysty, co jest jego kaprysem, irracyonalnością, jego temperaturą nieprzytomności, która czasem bywa jego czarem i jego siłą. Więc wydaje mu się, że gdy nad stawem Łazienkowskim niema pomnika Demetry, to Wyspiański w swojej temperaturze zachwytu nie mógł jej widzieć, a istniejący pomnik Wisły nie mógł mu się wydać Demetrą. Z drugiej znów strony nie ufa biografom, znającym osobiście Wyspiańskiego, i nie chce wierzyć, że ten sam Wyspiański, gdy szło o sprawy ideowe w dramacie, gorzał ambicyą ścisłości—i wszystko niemal musiało być *racyonalne* (oczywiście: w jego pojęciu racyonalności). Patrzył na świat nieprzytomnie, ale do dna przytomne wykuwał ze swego szalonego temperamentu—idee. Dlatego też nie można za coś podobnego do verlaine'owskiej melodyi lub do dowolności „Snu nocy letniej" brać sceny Joanny z Aresem. Możemy nie wiedzieć

skąd się Joanna w niej bierze, ale Wyspiański wiedział to napewno.

Są to jednak drobne usterki. Całość jest rzeczą tęgą, zakończoną w sobie, w języku i duchu polską, po pisarsku najzupełniej dobrą. Autor rozprawy o „Pawle i Gawle" myśli jasno—jasno więc z tego wypływa wysłowienie. Na dnie swej profesyi ma doskonałą szkołę: jest ścisły, czasem pedantyczny, jest wykształcony, jest myślący. Nad tem panuje prawdziwy talent: zdolność czucia, zdolność do entuzyazmu, badaj że i zdolność do *sądu własnego*. P. Borowy może być przyszłością krytyki literackiej.

Adam Grzymała-Siedlecki.

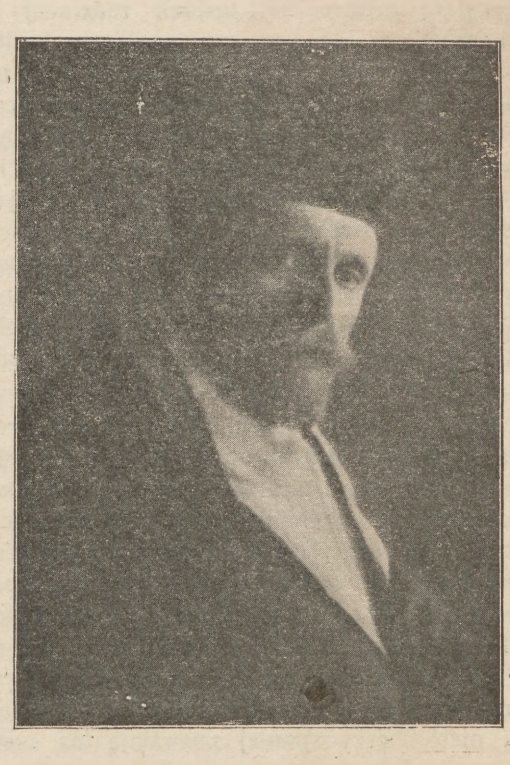
WYDZIAŁ SZTUK PIĘKNYCH UNIWERSYTETU WILEŃSKIEGO.

WYWIAD Z PROF. RUSZCZYCEM.

Zwiedzając szczegółowo uniwersytet wileński, miałem sposobność rozmawiać dłużej z profesorem Ruszczycem, dziekanem wydziału sztuk pięknych, który udzielił mi bardzo cennych i ciekawych wyjaśnień co do istoty i przyszłych zadań organizowanego przez siebie wydziału. Przedewszystkiem zainterpelowałem prof. Ruszczyca w sprawie genezy tej nowej placówki kultury na wschodzie.

— Powołanie do życia wydziału sztuk pięknych—zaczął prof. Ruszczyc—nie jest bynajmniej nowością, ani niespodzianką dla Wilna. Podobny bowiem wydział istniał już na dawnym uniwersytecie wileńskim *) i jeżeli teraz organizujemy go jako jeden z samodzielnych fakultetów, dokonywamy tylko zwykłego aktu wznowienia w myśl dawnych tradycyi. Nie tylko jednak obowiązująca tradycya powołała do życia ten wydział. Drugim bowiem bardzo ważnym czynnikiem, który sprawę wznowienia wniósł na porządek dzienny, są aktualne potrzeby chwili. W obecnym mianowicie okresie rewindykacyi gmachów i zabytków polskich w Wilnie stworzenie takiego do pewnego stopnia autorytetu stało się wprost koniecznością; zarówno profesorowie, jak i uczniowie mogą oddać nieocenione usługi przy rewindykacyi. Dla uczniów praca taka będzie zarazem wyborną szkołą praktyczną. A zakres tej pracy jest bardzo obszerny. Achitekci będą musieli czuwać nad artystycznem wykończeniem odbudowy gmachów, malarze nad rewindykacyą starych, ukrytych dotychczas malunków, rzeźbiarzy wreszcie czeka oprócz badania i poznania rzeźby wileńskiej piecza nad robieniem odlewów. Już ta ostatnia praca, jeżeli się zważy na te nieobliczalne wprost usługi, jakie oddają dobrze wykonane odlewy przy wykładzie historyi sztuki, wskazuje na wielką doniosłość praktyczną wydziału sztuk pięknych. W dalszym ciągu cała strona dekoracyjna wileńskiego teatru spoczywać będzie na barkach tego wydziału. Czy to, gdy będzie chodziło o namalowanie jakiejś stylowej dekoracyi, czy to, gdy trzeba będzie wykonać jakiś projekt inscenizacyi, pomoc profesorów i uczniów wydziału okaże się niezawodną.

— Zakres pracy praktycznej wydziału—ciągnął dalej prof. Ruszczyc—obejmie nie tylko Wilno i konserwacyę znajdujących się tutaj zabytków, lecz także odbudowę zniszczonej wsi litewskiej w pasie przyfrontowym. Jako wstępny krok do tej pracy urządzi się w krótkim czasie wystawę architektury i wnętrza, a to w tym celu, ażeby w zniszczonych wsiach i miasteczkach odbywała się odbudowa, po pierwsze planowo i zadowalająco pod względem artystycznym, powtóre zaś z nawiązaniem nici do dawnego miejscowego stylu. To wprowadzenie pewnego jednolitego stylu odnosi się nie tylko do samych budynków, lecz także do ich wnętrza, a więc przedewszystkiem do umeblowania, które, jak wiadomo,

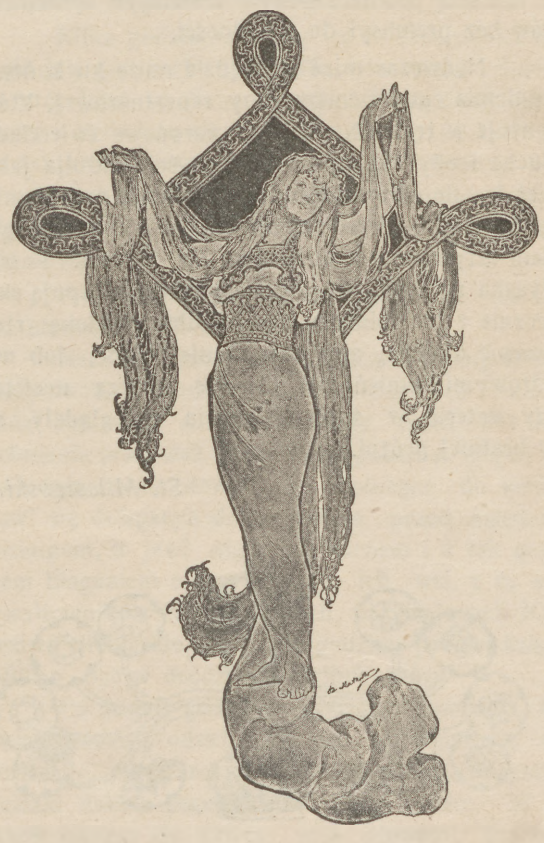


Ferdynand Ruszczyc,
dziekan wydziału sztuk pięknych
na uniwersytecie wileńskim.

uległo w czasie wojny zupełnemu zniszczeniu. Do wszystkich tych prac potrzebni są ludzie, którzyby obok twórczej inicyatywy posiadali zdolność popularyzacyi (wśród ludu) pewnych zasad i wiadomości, takich zaś właśnie ludzi będzie dostarczał wydział sztuk pięknych.

— A nauka teoretyczna? czy ta również stanie na takiej wysokości, jak nauka praktyczna?— wtrąciłem pytanie.

— Bez wątpienia—odpowiedział prof. Ruszczyc.—W tym zakresie staraliśmy się wszystko zrobić co tylko było w naszej mocy, przedewszystkiem zaś opracowaliśmy odpowiednio plan organizacyjny wydziału. Cały mianowicie wydział dzieli się



na cztery zasadnicze działy: *architekturę, rzeźbę, malarstwo* i obowiązujące dla wszystkich *sztuki stosowane*. Do tych ostatnich należy także fotografia artystyczna, drukarstwo, oraz artystyczne wykonywanie opraw książek bibliotecznych. Wszystkie te działy zostaną uruchomione już w pierwszym semestrze.

— A siły profesorskie?

— Ta sprawa została, Bogu dzięki, pomyślnie załatwiona. Udało mi się bowiem ściągnąć te siły, o które specyalnie chodziło. Zorganizowaniem mianowicie działu architektury zajął się prof. Lalewicz i prof. Noakowski, sztuki stosowane prowadzić będzie prof. Czajkowski, katedry malarstwa obejmą prócz mnie profesorowie: Stanisław Bohusz-Siestrzeńcewicz, Kubicki i Jastrzębowski, co do rzeźby wreszcie toczą się właśnie ostateczne pertraktacye, które zdaje się uwieńczone zostaną pomyślnym rezultatem.

— Czy środowisko wileńskie uważa pan profesor za odpowiednie do powstania tego rodzaju wydziału?

— O ile chodzi o samo miasto, — odpowiedział mój interlokutor — muszę przyznać, że jest nie tylko odpowiedniem środowiskiem, ale wprost stanowi wyborne tło dla tego rodzaju przedsięwzięcia. Wilno—to miasto, które posiada własną, starą, a tak jedyną w swoim rodzaju kulturę; na każdym kroku spotykamy tu jakiś drogocenny zabytek przeszłości, który tchnie swoją kulturą w otaczającą go atmosferę. Człowiek-artysta znajduje tu wszędzie doskonałe tło i natchnienie do swej twórczej pracy. Jako ilustracyę tej myśli mogę panu przytoczyć sam fakt, że wydział będzie się mieścił w murach pobernardyńskich, w najbliższem sąsiedztwie takich zabytków, jak kościół św. Anny i Bernardynów, w niedalekiej zaś odległości i na tle najpiękniejszych pagórków wileńskich. Jest to więc miejsce wprost wymarzone dla artysty-twórcy. A przytem Wilno przez swój spokój i powagę jest typowem miastem uniwersyteckiem, które można wyzyskać dla życia akademickiego i dla pracy, wymagającej specyalnej uwagi.

— A społeczeństwo?

— O to jestem zupełnie spokojny — mówił profesor Ruszczyc.—Wszak wydział ten, jak wyżej powiedziałem, stanowi najistotniejszą potrzebę tego społeczeństwa; zresztą najlepszym regulatorem nastroju tego ostatniego będą wspaniałe rezultaty praktycznej pracy wydziału.

— A czy w uczniach spodziewa się pan profesor znaleźć podatny materyał do nauki i pracy?

— Na pytanie to nie mogę dać w chwili obecnej odpowiedzi bezwzględnej, bo uczniów tych jeszcze nie znam, na podstawie jednak danych z przeszłości jestem jak najlepszej myśli, albowiem nawet w czasach największego ucisku, w okresie zwalczania wszelkich objawów twórczych widać było u młodzieży zawsze silną dążność do rozwoju kultury artystycznej, której to dążności nie mogli usunąć ani zdusić nasi wrogowie. Trzeba tylko tą młodzieżą odpowiednio pokierować i wyzyskać jej talent i pracę dla dobra społeczeństwa. Wogóle grunt tutejszy uważam za grunt bujny.

— A młodzież żydowska i litewska?

— Co do tej ostatniej—odpowiedział prof. Ruszczyc — zajmujemy stanowisko przychylne, wszelako wyraźnie zaznaczamy, że tworzymy uniwersytet w myśl dawnej tradycyi polskiej kultury.

Tym akordem zakończył profesor Ruszczyc naszą rozmowę, ja zaś, pożegnawszy się, pośpieszyłem czemprędzej przelać jego myśli na papier.

M. Z. Jedlicki.

*) Tutaj wykładał między innymi sławny Smuglewicz.

Z TEATRU.

¤¤

Dramat p. Wacława Rogowicza o miłosnym „Zdroju zatrutym" przez popęd kazirodczy, fatalne dziedzictwo rodu kresowych półpanków, nieco przedwcześnie oddany został teatrowi. Ogniowa próba sceny obróciła w perzynę cały akt pierwszy, spopieliła większą część drugiego i trzeciego, tak, iż nieliczne tylko fragmenty pozostawiły ślad swego kształtu na tem pogorzelisku dramatycznego rękopisu.

Oto, mem zdaniem, nagi fakt. Można go przykryć tysiącem obsłonek retorycznych, upiększyć deseniami frazesów o kulturze literackiej i estetycznej autora, lecz byłyby to tylko nagrody pocieszenia, niegodne, aby niemi zaprzątać poważny umysł autora. Lepiej wprost nazwać po imieniu „Zatruty zdrój" rzeczą chybioną, lecz nie upoważniającą wcale do niepomyślnych wróżb o przyszłości p. Rogowicza, jako autora dramatycznego. Tej zaś przyszłości przegrana obecna przynieść może korzyść nieobliczalną, wyjaskrawione bowiem dzięki scenie ułomności utworu staną się dlań wymownem pouczeniem, z którego niezawodnie skorzysta.

Autor „Zatrutego zdroju" nie znalazł jeszcze swej drogi. Szczególikowa obserwacya realnego życia nie ma dlań ponęty, a silnie rozwinięty zmysł estetyczny odstręcza go od podsłuchiwania tętna leniwej krwi w ludziach płaskich i od sporządzania geometrycznych pomiarów zdarzeń przyziemnych. Radby błyskawicą natchnienia zgłębić bezdeń miłości, spojrzeć w twarz nieszczęścia, zbadać intuicyą wyroki losu, logiką zaś udowodnić płonność walki z przeznaczeniem. Lecz „usta kłamią głosowi, a głos myślom kłamie" nawet u wielkich poetów, cóż więc dziwnego, że u poetyzującego tragicznie literata kłamie niejednokrotnie i myśl i głos... Wówczas los, wzywany nadaremno, traci mistyczną grozę, z imieniem jego związaną, i przeistacza się nagle w atawizm, którego tajniki zawiłe roztrząsać z lepszem powodzeniem możnaby raczej „suchą" metodą realistycznej obserwacyi.

Historya rodu hr. Czehryńskich zawiera w sobie niemało pierwiastków dramatycznych, wystarczających najzupełniej do stworzenia dobrej sztuki, gdyby obfitość treści nie szła tu w niedobranej parze z anemią dramatycznej formy. Dwa młode serca pałają wzajemną miłością, dążą ku sobie, na przekór „wszystkiemu". Historya stara i młoda zarazem jak świat. Wszystko zaś jest tu bardziej niż zwykle skomplikowane. Jawnie, jako przeszkoda główna, wchodzi w grę niechęć starej hrabiny do związku syna z nieutytułowaną wychowanicą, tajemną zaś przeszkodą (która zbyt rychło, dzięki staremu gadule w liberyi, staje się tajemnicą publiczną) jest klątwa rodowa, płodna w opłakane następstwa. Stara klątwa w przymierzu ze starą kobietą jakiegoż zdroju miłości nie zatruje? Praszczur Czechryńskich uwiódł przed laty żonę swemu bratu. Odtąd przestępstwo to powtarza się co kilkaset lat w rodzie, dosięga wreszcie naszych czasów. Z występnego związku matki młodego Czehryńskiego z jego stryjem zrodzona dziewczyna wzbudza miłość w przyrodnim bracie. Nowemu skażeniu rodziny Czehryńskich przez nowe kazirodztwo przeszkadza samobójcza śmierć najmłodszego i ostatniego potomka jej z prawego łoża, poprzedzona przedzgonnem wyznaniem sędziwego winowajcy-stryja.

W dramacie „Zdrój zatruty" wolę ludzką unicestwia fatum. Autor nie potrafił jednakże wzbudzić wiary w przemożną moc przeznaczenia ani w słuchaczach, a i w sobie. Fatalność zaś jest mściwa: wprowadzona do realistycznego dramatu uczyniła zeń dyalogowaną nowelę w mistyczno-sensacyjnym stylu.

Pomściła się również na aktorach. Jeżeli bowiem p. Majdrowiczówna nie odniosła w tej sztuce zupełnego tryumfu, to dlatego chyba, że już w akcie pierwszym musiała na chwilę zmienić się z rozkochanego dziewczęcia w Kasandrę, przeczuwającą nieszczęście i upadek rodzinnej Troi Czehryńskich. Przedwczesna, papierową logiką, a nie życiową prawdą tchnąca rozpacz zepsuła na jeden krótki moment prześlicznie rozwijającą się dzięki subtelnej grze prawdę uczucia. Zato w akcie drugim p. Majdrowiczówna wyszła zwycięsko z wszelkich psychologicznych zasadzek swej roli. Grała całą postacią, w każdym jej geście była harmonia i płynność. Atmosfera dzisiejszych scen warszawskich nie nazbyt sprzyja szybkiemu rozwojowi młodocianych talentów, zatem pieczołowitą baczność winniśmy zwracać na wyjątki, urągające niepomyślnej regule.

W słusznem dążeniu do wyparcia z repertuaru trzeciorzędnych utworów cudzoziemskich, panoszących się u nas ze złowrogą butą, kierownik Rozmaitości chętnie zezwala na debiuty polskich autorów. Należy temu przyklasnąć. Wszakże teatry nasze chociaż część swojej misyi spełnią należycie, gdy wykształcą nam kilku dramaturgów i komedyopisarzy, dając im polę do eksperymentów. Jeżeli teatry nasze nie są w stanie wystawiać dzieł wzorowych dalszej i bliższej przeszłości, niechże przynajmniej pozwalają na samouctwo tym, którzy mianem pisarzy dramatycznych będą mieli prawo nazwać się w przyszłości. Cóż stąd, że wielu z nich nie dorównywa dziś zręcznością wytrawnym żonglerom Zachodu? Autor „Zatrutego zdroju" stawia jako dramaturg pierwsze kroki. Osiągnął bardzo wiele, uniknąwszy dziecięcego „raczkowania", które przy jego kulturze i estetycznem wyrobieniu niełatwo byłoby wybaczyć. Sprawia raczej wrażenie młodego inżyniera, który, zdobywszy wiele teoretycznej wiedzy na uniwersytecie, nie umie jeszcze korzystać z niej w całej pełni. Takiego lada wyga-podmajstrzy zapędzi w kozi róg, ku chwilowej (na szczęście!) uciesze gawiedzi. P. Rogowicz skwitować może śmiało z podszytego sezonowym wiatrem powodzenia i pochwał na rachunek jutra, którego pomyślność zależy od wytężonej pracy dziś. Społeczeństwo, znużone pirotechnicznemi objawieniami obiecujących, a niedotrzymujących talentów, z radością powita zapewne rzetelnych pracowników bez pretensyi do genialności.

Naówczas mieć się będzie może ku końcowi epidemia cudzoziemszczyzny repertuarowej, która grasuje w teatrach. Teatr, narodowe zwierciadło ducha i obyczajów, coraz to częściej odbija jakoweś kosmopolityczne upiory, rodem z przebrzmiałych sezonów przedwojennych, a tak pod względem artystycznym kuse, jak ów fraczek kusego dyaska z bajki. Jego ostre pazury odrapują skutecznie z teatralnego zwierciadła powłokę rtęci pewnie dlatego, aby podejrzanie blade, lub niezdrowymi rumieńcami płonące oblicza neofitów czy weteranów życia i użycia przeglądały się w bratniej próżni.

St. Miłaszewski.

DOŁHOBRODY.

¤¤

Autor niniejszego szkicu, ks. Jan Pawelski S. J., długoletni redaktor krakowskiego „Przeglądu Powszechnego", miał sposobność objeżdżać Podlasie z J. E. ks. Przeździeckim, biskupem podlaskim, w maju i czerwcu 1919-go r., w czasie pamiętnej wizytacyi arcypasterskiej. Z wrażeń tych podlaskich udziela nam to wspomnienie o pobycie w Dołhobrodach.

Szerokim gościńcem nadbużańskim jechaliśmy z Włodawy do Dołhobrodów.

W niewielkiej odległości widniały brzegi Bugu. Po obu brzegach ciągnęły się w dal równe srebrzyste łany, szumiące bujnem żytem, z pośród których podnosiły się raz po razu kępy drzew, im bliżej nieboskłonu tem częstsze i coraz obfitsze gaje, zmieniające się na widnokręgu w długą siną linię lasu.

Już znaczną przestrzeń przed Dołhobrodami Bug odgina się od gościńca i oddala się od wsi o dobre dwie wiorsty, zasila jednak wodą jezioro, ciągnące się przez całą wieś. Widok jeziora jest w swoim rodzaju niezwykły. Tu róg chaty ociera się wprost o nadbrzeżne kępy szuwarów; tu znowu, jakby na weneckich kanałach, u drzwi chat powiązane łódki igrają z wiatrem na marszczącej się fali; tam mały półwysep z kilku chatami wcina się ostrym językiem w wodę; owdzie jezioro wchodzi w ciągnącą się w nieskończoność łąkę, która aż w tęczę mieni się od barwnego kwiecia. Jezioro raz węższe, raz szersze, raz na całą szerokość zarosłe kępami sitowia i miseczkami lilii wodnych, to znowu czyste, jak zwierciadło, odbija w sobie każdy fałd na błękicie. Dziwne ukojenie obejmuje duszę, gdy wjedzie się na ten wiejski kanał wodny i, przemykając się łódką wśród sitowia, z jednej strony ma się niezmąconą ciszę wiecznie milczących podlaskich chat, z drugiej—nieskończoność łąk.

Nad brzegiem jeziora kryje się wśród drzew kościołek modrzewiowy. Mały i ubożuchny. Wewnątrz kościołka bardziej jeszcze ubogo niż zewnątrz, tak ubogo, iż oko nie ma na czem spocząć. Spocząć może tylko u stóp Chrystusa, ukrytego w żłobku ubogiego tabernaculum. Czemś tak prostem, jak ten kościołek, w swojej prostocie rzewnem, a jednak i zarazem głęboko istotnem, może być tylko modlitwa Podlasiaka, która ten kościołek zbudowała.

Dopiero, gdy kościołek obejdzie się dokoła, wpadną w oczy skromne, ale ładnie pojęte drewniane podcienia, okalające część prezbiteryum tylko. Podług tradycyi miejscowej istnieje ten kościołek już sześćset lat, a zawsze był cerkiewką unicką. Dopiero rok 1874, jak gdzieindziej na Podlasiu, tak i tu przyniósł unii zagładę. Po dziś dzień pamiętają mieszkańcy Dołhobrodów, jak w tej ponurej chwili wszedł z pożegnalnem słowem na ambonę ówczesny paroch unicki, ksiądz Horoszewicz, i powiedział tylko te słowa: „Zrobicie, co wam każe wasze sumienie; mnie sumienie każe pozostać przy dawnej wierze".

Męczeńska dola rozwiała wtedy swój płaszcz purpurowy nad tym uroczym zakątkiem. Przyszły lata cierpień, zrazu wielkie bohaterskiem napięciem, potem smutne i długie, jak czarna niekończąca się noc jesienna. A choć jutrzenka wolności religijnej wniosła w roku 1905-ym jakieś światełko w udręczone dusze podlaskie, nie rzuciła jednak ani jednego promienia na cerkiewkę dołhobrodzką. Schizmatycki pop nie myślał z niej ustąpić i trzeba było dopiero takiego huraganu, jakim była wojna światowa, ażeby razem z uciekającą armią rosyjską wymieść i popa z Dołhobrodów. W jednej chwili, razem z ulotnieniem się popa, lud wyrzucił wszystko, co przypominało

schizmę: trójramienne krzyże i carskie wrota. Znęcająca się schizma sprawiła, że między tym ludem ruskim i unickim nie było w tej chwili nikogo, coby się sercem całem nie czuł Polakiem i łacinnikiem. Wezwano polskiego księdza Teofila Biernata, a ten cerkiewkę poświęcił na kościołek łaciński. Trzeba było jednak przejść jeszcze przez jeden próg męczeński. I tu moment nawet w martyrologium podlaskiem wyjątkowy. Co nie zdarzyło się nigdzie, zdarzyło się w Dołhobrodach: dwa katy Polski, Moskal i Prusak, katowali lud dołhobrodzki za wiarę katolicką. Przedziwny symbol, że ostatnie męczeństwo za wiarę, jakie na ziemi polskiej miało miejsce i które bodaj że ostatniem już pozostanie, dokonało się zjednoczonemi siłami dwu odwiecznych naszych wrogów.

Załoga pruska, rozmieszczona w Dołhobrodach, nie inaczej jak inne załogi pruskie rozrzucone po Podlasiu, dawała się silnie we znaki mieszkańcom wsi, rujnując ich majątkowo, zabierając dobytek, bydło i ziarno. Przyszła jednak chwila, że do tej udręki dołączył żołdak pruski jeszcze inną. Oto schizmatycki pop dołhobrodzki, ochłonąwszy z pierwszej trwogi, odłączył się od swoich kolegów, którzy ze strachu aż w głębi Rosyi przystanęli, i tułał się przez dwa lata w pobliskiej okolicy. Szczęśliwy dlań traf zdarzył wreszcie, że wszedł w przyjacielski stosunek z jakimś oficerem pruskim i, poparty jego protekcyą, powrócił do Dołhobrodów, gdzie od miejscowej załogi pruskiej otrzymał w tej chwili pozwolenie na dalsze zawiadywanie kościołkiem. Zjawienie się popa wstrząsnęło całą wsią, w tej samej godzinie otoczony był kościołek ludem dokoła — na czele stanęły kobiety. Za chwilę jawi się pop osłoniony załogą pruską, uzbrojoną w pełny rynsztunek wojenny. Rozkaz, ażeby się rozstąpić i przepuścić popa do kościołka na nabożeństwo, pozostaje bez skutku. Pop próbuje przekonywać, przestrzega na wypadek nieposłuszeństwa przed nieszczęściem, co również nie sprawia żadnego wrażenia. Stanowcza postawa ludu wywołuje u komendanta paroksyzm wściekłości. Pada rozkaz ataku. Na bezbronny lud rzucają się żołnierze i z całą furyą zaczynają go okładać kolbami. Już leje się krew, już kilka kobiet padło pod razami, ale na ich miejsce wpadają inne i, potrząsając w górę rękoma, rzucają żołnierzom wezwanie, że do ostatniego tchu życia nikt z tego miejsca nie ruszy się. Atak trwa dalej,—już kilkanaście ofiar leży na ziemi. Dopiero wtedy zrozumiał komendant, z kim ma do czynienia. Dał hasło do odwrotu. Nazajutrz pop wyjechał na zawsze i również nazajutrz z pobitych ofiar cztery kobiety wyzionęły bohaterskiego ducha, cztery męczenniczki w obronie wiary katolickiej przed schizmą, potrząsającą pruskiemi kolbami. Działo się to w roku 1918-ym.

Było o czem myśleć na miejscu, gdzie niespełna przed rokiem w tak niezwykłych okolicznościach dokonywało się męczeństwo za wiarę. Cały ten cichy modrzewiowy kościołek wraz z uroczym okalającym go cmentarzem, tak niedawno zroszonym krwią, wraz z tem cudownem jeziorem, w którem blask tej krwi się odbijał, stawał przed myślą jak ostatni potężny bastyon fortecy podlaskiej, który, gdy w całej fortecy już dawno panuje cisza, zdaniem niektórych nawet cisza niemocy, walką swoich obrońców daje znać światu, że bohaterskie serce katolickiego Podlasia bije dalej, że pod popiołem dzisiejszej pospolitości żarzy się dalej święty ogień. Niech przyjdzie tylko wróg a śpiąca forteca zerwie się natychmiast do walki; wiatr antyreligijny odrazu i popiół rozwieje i żarzące się iskry rozżagwi w płomień. I zrobiło się smutno na myśl, że podmuchy takiego wiatru właśnie w tej chwili raz po razu wpadały od stolicy tej Polski, ku której jak pisklęta ku rodzicielskiemu gniazdu cisnęły się gwałtem serca podlaskie, które tak często o tyle tylko polskiemi się czują, o ile przycisnąć się pragną do piersi katolickiej macierzy.

Z czcią najwyższą patrzyłem na strzechy, przylegające do cmentarza kościelnego i biegnące wzdłuż gościńca. Oto wioska, która, jak każda wieś, mogłaby zadowolić się tem, że sadzi kartofle i doi krowy. Tymczasem jak wielka i jak mocna idea żyje w piersiach tego ludu! Po półwiekowem zmaganiu się z potężną schizmatycką Rosyą, po czterech latach wojny światowej, wyniszczającej odporność do ostatka pod każdym względem, nie najmniej zaś pod względem religijnym, przychodzi chwila, gdzie lud ten staje oko w oko z żołnierzem pruskim. A należy pamiętać, że był to moment, kiedy żołnierz tu uchodził za niezłamaną potęgę, pikelhauba rzucała cień wtedy na całą Europę. Ale żołnierz ten wchodzi w spisek z popem schizmatyckim przeciw katolickiej religii! — to wystarcza, aby stawić mu opór. Niech ten żołdak będzie potęgą jaką chce, niech ta walka kosztuje co chce,—tu niema miejsca na wahanie się, na względy ludzkie, niema względu na życie czy śmierć. Dusze wszystkich wieśniaków i wieśniaczek, starców, kobiet i dzieci, zamieniają się w jeden płomień tak potężny, że łączy się z nim spokojnie świadomość, iż w tym płomieniu spłonąć przyjdzie.

Już nie wiem ile razy okrążyłem kościołek dokoła, myśląc i słuchając opowiadań polskiego księdza, który od kilku miesięcy przy tym kościołku gorliwie pracuje. Duszę zacnego kapłana przygniatał dzisiaj ciężki smutek, odbicie głębokiego smutku, w jakim wieś cała pogrążona była. W dniu tym miał przybyć do Dołhobrodów z kanoniczną wizytą ksiądz biskup dyecezyi podlaskiej. W ostatniej godzinie przyjazd odwołano—tyle oczekiwań, tyle przygotowań i wszystko nadarmo! Oto przy gościńcu wznosi się brama tryumfalna, którą cały dzień wczorajszy pół wsi stawiało! A z jakiem uczuciem gotowała się cała wieś na tę chwilę! Biskup to dla Podlasiaków najbadziej widomy wyraz tego, za co tyle cierpieli, co cierpieniem swojem wywalczyli; dzisiejszym ingresem miała być przyłożona pieczęć na wywalczonym przez nich stanie posiadania! Tymczasem zaszła przeszkoda.

Napróżno próbowaliśmy przekonywać gromadzące się grupy wieśniaków, że za rok ksiądz biskup ich odwiedzi. Zwłaszcza przy pożegnaniu, przy naszym odjeździe do Sławatycz, czuliśmy, że wcale nie uspokoiliśmy ludności.

Kilka godzin postoju w Dołhobrodach minęło jak jedna chwila, wielka, świetlana chwila, w której, jak na Taborze, oglądało się blask ludzkości. Wsiadało się na wóz z żalem, że ta chwila tak krótka, że nie było danem zetknąć się z całą bohaterską wsią bezpośrednio, że widziało się tylko brzeg duszy tego ludu a nie widziało się duszy całej.

Przyszłość jednak miała się okazać dla nas od obecnej chwili łaskawszą.

Nazajutrz rano był już ksiądz biskup w Sławatyczach, a choć po dwu niespanych nocach mógł być dość znużonym, cały dzień bez wytchnienia pracował. Gdy koło godziny piątej po południu praca zdawała się dobiegać do końca, jawi się delegacya dołhobrodzka przed księdzem biskupem, a jawi się z tak kornem i z tak gorącem błaganiem o nawiedzenie ich wsi, z tą siłą gwałtowników ewangelicznych, porywających Królestwo Niebieskie, że w pół godziny później ksiądz biskup był w drodze do Dołhobrodów.

Po jakiejś godzinie ujrzałem ponownie kościołek dołhobrodzki. Ale już nie samotny, nie milczący, jak wczoraj. Cały cmentarz, wszystkie ścieżki dokoła przepełnione były ludem. W rękach jarzyły się świece, nad głowami łopotały chorągwie. Zbliżaliśmy się coraz śpieszniej, poprzedzani rączą banderyą, ubraną w biało-czerwone barwy, rozwianą we wstążki, kolorowe szmatki i papierki w takiej obfitości, że chyba cały powiat na to się składał. Po chwili banderya odskoczyła na boki — staliśmy przed bramą tryumfalną. Nie będę opisywał mów, ceremonii ingresu, szczegółów uroczystości przed kościołem i w kościele. Przez cały ten czas pochłonięty byłem zjawiskiem, z jakiem poza Podlasiem nie spotkałem się nigdy, a na Podlasiu niewiele razy w tym stopniu, co w Dołhobrodach. Była to dusza Podlasia, wywołana obecną chwilą z powijaków ciała. Zjawisko to określić można tylko jako najwyższy stopień duchowego podniecenia, jako całkowite wyjście duszy na próg ciała, i to nie u jednego człowieka, kilku czy kilkunastu, ale u całego wielkiego zbiorowiska ludzi. Nie widziałem nigdy na twarzach ludzkich takiego zbioru wyrazów, przełożonych na najwyższy ton, ani w życiu, ani w sztuce. Obraz Wszystkich Świętych Dürera, Sądy Ostateczne różnych pędzli, pozostały bladą kopią. Same oczy ludu w tej chwili szeroko otwarte, tu zatlone krwawym płomieniem proroczego jasnowidzenia, tam rozjaśnione pełnym promieniem rajskiej pogody, owdzie świecące przenikliwym połyskiem stali, tu żarzący się węgiel, tam jakiś zamglony błędny ogień, przedstawiały taką skalę świateł, iż nie miało się pojęcia, by śmiertelne źrenice objąć ją mogły. Samo podanie ciała naprzód u całego tłumu sprawiało wrażenie, jakby tłum ten zastygł w akcie konwulsyi. Cóż mówić o wyrazie twarzy tu pobladłych ze wzruszenia, tam ceglastym rumieńcem powleczonych, o wyrazie, w którym stapiały się wszystkie wysokie losy wielkiego wzruszenia, podniosłej myśli i wielkiego uczucia.

Gdzieś po modlitwach, po udzieleniu Sakramentu Bierzmowania, przyszła chwila, w której ksiądz biskup rozpoczął swoją mowę pożegnalną do ludu. Zaraz po kilku słowach znać było, że dusza dołhobrodzka objawiła mu całe swoje oblicze i na jasnych skrzydłach poniosła jego wzrok i serce w głąb uczuć otaczającego go tłumu. Mówił z wielkiem przejęciem, zwolna, słowo po słowie, a każde słowo było właśnie tem, którego mimowiednie oczekiwało się; każde zdanie odczytywało jedną z tych tajemniczych run, jakie dusza wypisała na twarzach tego ludu. Cierpieliście i walczyliście pół wieku, aby wywalczyć tę chwilę, jaką wam dzisiaj Bóg w nagrodę daje. Bezbronni, słabi, walczyliście z jedną z największych potęg świata. Zdawało się po ludzku, że walka to beznadziejna, że klęska wasza pewna. A oto dzisiaj to potężne państwo rozsypane w proch u stóp waszych, a na was spełnia się dosłownie słowo Boże: „To jest zwycięstwo, które zwycięża świat, wiara wasza".

Mrok wieczorny, który już od jakiegoś czasu jął coraz pełniej wlewać się do kościołka, usuwał coraz bardziej z przed oczu ludzkie twarze i ciała. Przez jęki i westchnienia wzruszonego serca dawała o sobie znać dusza Podlasia.

Już gwiazdy prześwietlać zaczynały oponę wieczoru, gdy wsiadaliśmy na bryczkę, z powrotem do Sławatycz. Przed wsiadającym księdzem biskupem stanął siwy Podlasiak z gromnicą świecącą w ręku i podał w imieniu całej wsi pismo, żądające od laski marszałkowskiej, by matka, polska Ojczyzna, uznała prawa Kościoła katolickiego.

Gdy po chwili jeszcze raz obróciłem się ku kościołkowi, cała wieś stała u odrzwi jego cicha, nieporuszona, jakby w zbiorowy posąg zakuta. Światło świec i gromnic rzucało na ten posąg aureolę, a dymy światła stwarzały nad tym posągiem jakiś ruchomy wyższy świat cieni czy istot, jakby świat duchów męczeńskich tej wsi.

Ks. Jan Pawelski T. J.

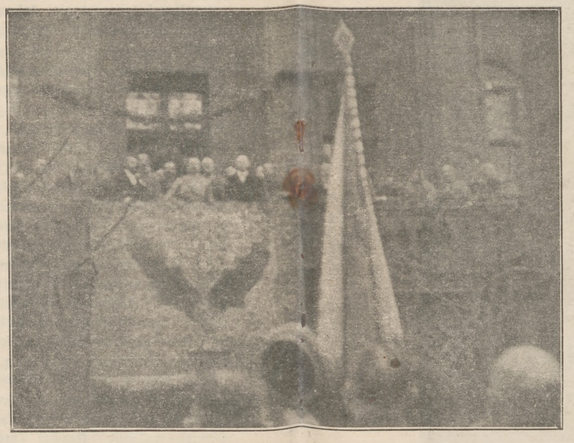
Warszawa, 21-go grudnia 1919 r.

JENERAŁ HALLER W TORUNIU

dnia 21 stycznia 1920 roku.



Jen. Haller pod łukiem tryumfalnym, zbudowanym na przyjęcie wojska polskiego



Jen. Haller przemawia do ludności toruńskiej z balkonu gmachu ratuszowego.



Tłumy na rynku toruńskim.



Powitanie jen. Hallera na dworcu w Toruniu przez burmistrza miasta.



Jen. Haller ze swoim sztabem na balkonie gmachu ratuszowego.



Batalion morski W. P. w pochodzie przez ulice Torunia.

Zdjęcia dokonane przez Centralny urząd filmowy Naczelnego Dowództwa W. P.



UROCZYSTOŚĆ POWITANIA WOJSKA POLSKIEGO W GRUDZIĄDZU.

OD TORUNIA PO PUCK.

W najbliższym numerze „Tygodnika Illustrowanego" rozpoczniemy druk wrażeń, jakie dla pisma naszego kreśli nasz specyalny korespondent a tak niepospolity pisarz: Ignacy Grabowski, wrażeń z historycznych chwil odbierania ziem zachodnich. Jako wstęp do nich podajemy głos jednego z obywateli tych ziem, który zdołał już przybyć do Warszawy z pod Grudziądza i złożył nam garść swoich spostrzeżeń z czasu, poprzedzającego wyzwolenie Pomorza, i z momentu wkroczenia wojsk jen. Hallera na ziemie pomorskie.

Warto było widzieć oczy tego człowieka. Przybył do stolicy z uczuciem niewypowiedzianego wzruszenia. Tyle lat dziesiątków oczekiwania na tę chwilę! Na tę chwilę, z której szydziła rzeczywistość, na którą, zdawało się, nie ma już co czekać...

Los nie oszczędził Pomorzanom i najsroższej katuszy. Było nią oczekiwanie ostatnich czternastu miesięcy.

— Wy nie macie wyobrażenia!—mówi nam nasz gość—czem były te długie miesiące wpatrywania się serc naszych w waszą stronę. A przytem znacie Prusaka. Możecie więc sobie wyobrazić, jakich dobierał środków działania, by wykazać nam dobitnie, że oficyalnie pozostajemy jeszcze pod butem krzyżackim. Wydawałoby się, że względy elementarnego rozumu politycznego powinny były kazać władzom niemieckim zmienić kurs wobec Polaków, jednać ich sobie, rzucać jakiś pomost kompromisu między przeszłością a przyszłością—i tak istotnie zadanie czasu prowizorycznego pojmowała garść Niemców, ale ogół! Ten ogół niczego się ze swej klęski nie nauczył. Hakatyzm był i jest rodzajem czadu moralnego, który sprowadza nieprzytomność na mózgi. Na dnie uczucia zbiorowego Niemców panowała rozszalała wściekłość, jak u zranionej pantery: chociażby przez te ostatnie miesiące, tygodnie—pokazać, czem jest Niemiec! Nas zaś krępowała bezsilność. O jakże gniotąca była ta bezsilność! Możecie sobie wyobrazić, z jakiem wzruszeniem przyjmowaliśmy powstanie poznańskie! jak się rwały nasze ręce do czynu! Niestety, twardy nakaz zimnego obrachunku kazał nam jeszcze raz zacisnąć zęby—i cierpieć. Powstanie u nas w Prusiech zachodnich z góry skazaneby było na przegraną. Władze niemieckie w gruncie rzeczy pragnęły tego ruchu, prowokowały go. Wśród młodzieży pojawiali się nawet dwuznaczni agitatorzy. Musieliśmy błagać naszych synów, by to poświęcenie z gotowego bohaterstwa swego zechcieli złożyć na ołtarzu dobra Ojczyzny. Niemcy w przyczajeniu złowrogiem już z góry przygotowywali się na pogrom Polaków. Armaty Torunia i Grudziądza chciwie obiecywały sobie obfity żer! Zdołaliśmy jednak zapanować nad porywem. Wtedy władze zaczęły się mścić nad nami za sprawiony im zawód. Kraj pokrył się siecią rozmaitych *Grenzschutzów* i *Heimatschutzów*, z których przeważająca część była zwyczajną organizacyą bandyckiej soldateski. Rozpoczęły się szykany, dokuczliwości, rekwizycye, rewizye, represye polityczne etc. Tak, panie, trwało to przez cały roki Wydawało się czasem, że nie doczekamy się już końca. Każdego z bliskich, który umierał, żałowaliśmy podwójnie: jako stratę rodzinną i jako ból, że nie doczekał...

I nareszcie przyszła ta chwila!

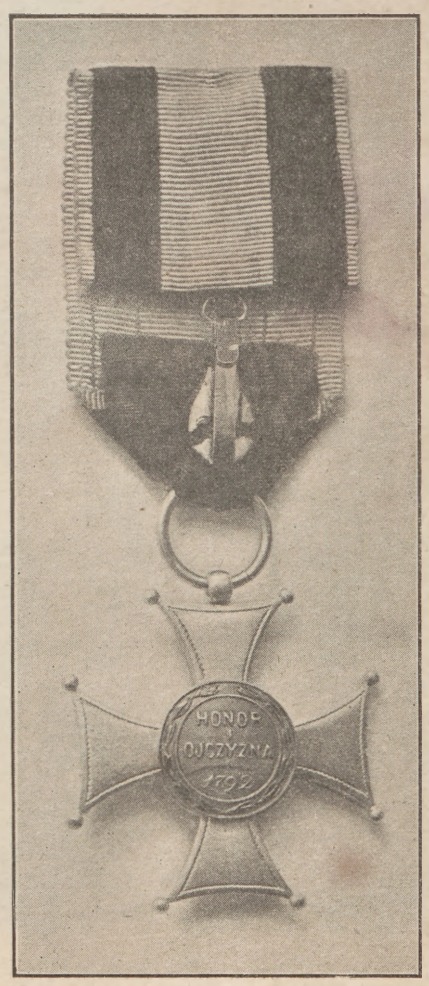
Im była bliższa, im ściślej oznaczona, tem większe uniesienie i jakaś błoga radość ogarniała wszystkich. Nie wiem, czy panowie uwierzycie, ale po domach polskich, w sercach naszych odbywała się jakaś przedziwna uroczystość skupienia modlitewnego. Było z nami tak, jak bywa z dziećmi w przeddzień pierwszej Komunii. Baliśmy się zgorszyć, by nie stać się niegodnymi przybycia Polski do domostw naszych. Inaczej, dźwięczniej brzmiały nam dzwony w kościołach naszych, jakiegoś osobliwego brzmienia nabierało najprostsze słowo, którem dzieliliśmy się. W oczach każdego widziałeś tę wniebobiorącą wiadomość: „za tydzień!", „pojutrze!", „jutro!!"

Boże, co to była za chwila, gdy nareszcie oczom naszym ukazały się chorągiewki ułańskie biało-amarantowe, gdy zachrzęściła stal polskich szabel! Jezu! za taką chwilę warto przecie oddać resztę życia! A przecie wiecie, że my tam nie jesteśmy sentymentalni, że nie bez słuszności nazywacie nas pono „Polak-cyfra". A jednak"...

*

A jednak—dodajmy od siebie — wszystko jedno, jakie wychowanie odbiera charakter Polaka, dusza plemienna pozostaje jednakową a w duszy tej uczucie dla Ojczyzny jest pierwsze i najważniejsze.





ARTUR OPPMAN (OR-OT):

VIRTUTI MILITARI.

Na wskrzeszenie znaku narodowej chwały.

22. I. 1920.

Krzyżu Virtuti! Nie jesteś orderem!
Tobie nie zrówna żaden męstwa znak!
Nad grzmiącym burzą polskich serc kraterem
Dwa godła wiały: ty i orli ptak!
On ciebie w szponach dzierżył w krwawej dobie
I w jeden symbol z twą się sławą splótł,—
Krzyżu Virtuti! Lud cię nosił w sobie,
A ty na orła pasowałeś lud!

Kiedyśmy Polskę zataili w skrytki,
W starej szkatułce ciekła z ciebie krew,
Latały w Sybir pijane kibitki,
A z twojej gloryi bił swobody śpiew;
Wróg się rozpierał na widomych szczętach,
Ale z dnia na dzień orał ducha pług,
A ten, co walczył, i ten, co marł w pętach,
Wiedział, że ciebie przypina mu Bóg!

Krzyżu Virtuti! Na starym portrecie
Jak hołd Ojczyzny z mężnych piersi lśnisz,—
I przychodziło małe polskie dziecię
Patrzeć w umarłych bohaterów krzyż;
W szkolnym mundurku nękane zdradziecko
Rosło na męża śród zatrutych strzał,
Dziecko na order, krzyż patrzył na dziecko
I dzieciak szeptał: „Ja cię będę miał!"

Na Saskim placu polskie wojsko stoi,
Od Cytadeli grzmi armatni grom:
Odwal się, płyto grobowych podwoi,
Wy, coście byli, patrzcie na swój dom!
Ja was widziałem, stu lat mary święte,
W tym błysku słońca, co na order padł,—
I srebrne krzyże do piersi przypięte
W jeden krzyk szczęścia związały sto lat!

Orle! Ty latasz nad Ojczyzną całą,
Ty krzyż Virtuti weź w swój złoty szpon,
Widzisz te groby, z których nie zostało
Nic, oprócz jęku macierzyńskich łon?
Koniec niewoli i koniec żałoby:
Młody żołnierzu, w ziemi wolnych śpisz!
Orle! na wszystkie, na te wszystkie groby
Ciśnij Virtuti bohaterski krzyż!



„POD DZWONNICĄ" JÓZEF RAPACKI

„POD DZWONNICĄ".

¤¤

Za moich lat młodzieńczych, kiedy zapamiętale wyszukiwałem zamierających już typów starej Warszawy, ginących z dnia na dzień omszonych pleśnią wieków murów i pełnych charakterystycznego czaru zaułków, zaprowadził mnie kolega i przyjaciel, malarz, do kawiarni „Pod dzwonnicą".

Kawiarnia ta—niema jej już oddawna—mieściła się na parterze starego domu tuż przy dzwonnicy Bernardyńskiej na Krakowskiem Przedmieściu, i stąd właśnie jej, znana w całej stolicy od dziesiątków lat, nazwa.

Przez mroczną, sklepioną sień wchodziło się do ogromnej komnaty, wiecznie zadymionej i ciemnej, pełnej ludzi i szumiącej nieustannym gwarem, jakby brzęczeniem potężnego ula ogromnych pszczół. Po chwili, przyzwyczajone już nieco do ciemności oczy oryentowały się w tej plątaninie dźwięków, postaci, sprzętów i murów i, dzięki niezawodnemu instynktowi artystycznego cygana, wyróżniały przedewszystkiem niewielki, ale zasobny bufet.

— Panienko! dwie duże z kroplami, a potem dwie w kratkę, ale także duże.

I oto spotykał cię podwójny zawód: Panienki nie było, była natomiast zażywna, podstarzała jejmość, która, z lekceważeniem spojrzawszy na nowicyusza, oświadczała krótko i węzłowato:

— Tu nie szynk, mój panie!

Skonfundowany usuwałeś się czemprędzej w głąb zaciemnioną i, klnąc śmiejącego się malarza, robiłeś mu gorzkie wyrzuty, że cię tu wprowadził dyabli wiedzą po co i na co. Ale wytrzymały artysta, nie reagując zgoła na twoje żałosne wyklinania, prześliznął się zręcznie do dziwnym trafem wolnego stolika pod oknem i, tkliwie powitawszy przekwitłą nieco, ale jeszcze niczegowatą Hebę, zadysponował:

— Józiu! dwie czarne z tem co wiesz...

I po momencie na stoliku pod oknem z widokiem na Zjazd zjawiły się dwie ogromne filiżanki warszawskiej mokki i dwie spore, odkorkowane już flaszeczki rumu „echt jamajka".

Rozpromieniły się moje oczy i ścisnąłem gorąco dłoń tryumfującego malarza na przeproszenie i na dalszą, niezłomną przyjaźń.

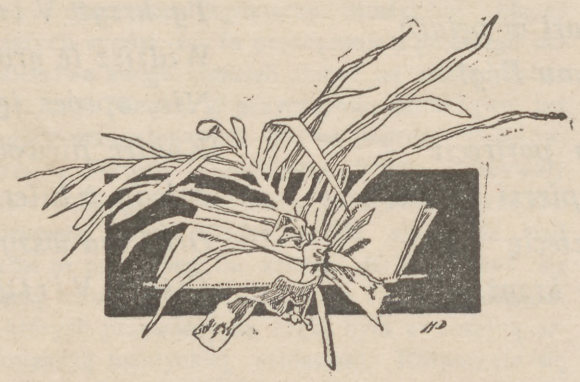
W kawiarni „Pod dzwonnicą" panował bowiem zwyczaj, znany dawnym bywalcom Krakowa, że trunków w kieliszkach nie dawano, ale każdej kawie i każdej herbacie towarzyszyła prawie nieodzownie buteleczka araku.

Było to zupełnie nie głupie, gdyż ponieważ jamajkę można było dostać tylko z herbatą lub kawą, przeto odbyt był zawsze podwójny.

W kawiarni „Pod dzwonnicą" bywały dwa rodzaje gości, łączących się zresztą i tworzących wtedy jedną, różną wiekiem, ale zjednoczoną upodobaniami i temperamentem całość.

Gros towarzystwa stanowili emeryci, exwojskowi, jak to się wówczas po cichutku mówiło: „b. w. polskich", dawni urzędnicy komisyi przychodów i skarbu, obywatele staromiejscy, słowem, jakby powiedział Dickens: młodzieńcy w pewnym wieku, tak mniej więcej od 70 do 90-ciu lat.

Kategorya druga składała się z kliki wiecznie gołej i wiecznie wesołej, bez określonych zajęć, ale z silnie określonym pociągiem do alkoholu i z olbrzymiemi aspiracyami do sławy.



Malarze, rzeźbiarze, poeci, muzycy, cały ten świat rozczochranej, wykwitającej z młodych dusz, jak pierwiosnki na wiosnę, sztuki, tłum hałaśliwy, roześmiany, beztroski, myszkujący na prawo i na lewo za kieliszkiem, spódniczką, żartem, figlem, ale i—dalibóg!—umiejący pracować i tryskający nieokiełzanym zapałem.

Oprócz już wspomnianej komnaty lokal składał się jeszcze z małego pokoiku dla najzaufańszych gości i przyjaciół zakładu oraz z trzeciej izby, również dużej, ale w przeciwieństwie do pierwszej, prawie po klasztornemu milczącej i skupionej.

Przy licznych stoliczkach, pochyleni, po dwóch, po trzech, siedzieli zadumani, poważni goście, jak gdyby odprawiając jakieś tajemnicze misterya.

Tu grano w szachy, w warcaby, w domino.

Józef Rapacki, którego obrazu reprodukcyę dajemy w niniejszym numerze „Tygodnika", znał kawiarnię „Pod dzwonnicą" i odtworzył ją z prawdziwą maestryą i z przedziwnym, niewymownym sentymentem. Kiedym spojrzał na to poetyckie odtworzenie przeszłości, stanął mi w oczach, jak żywy, cały ten świat umarły, tak ciekawy, tak charakterystyczny, niedawny niby jeszcze, a tak już biegunowo daleki.

Charakterystyka figur, kostyumy, cały nastrój typowy kawiarni pod mistrzowskim pędzlem artysty nabrały życia, prawdy, krwi i wigoru. Rapacki nie tylko pamięta tych ludzi i te czasy, on je kocha, jak wspomnienie kipiącej werwą młodości, on z farb i z płótna stworzył kawał tego życia, w którem na dnie pulsowało umiłowanie piękna i pęd do wolności.

I dlatego obrazy Rapackiego wywierają wrażenie i dlatego pozostaną, jako piękny dorobek malarstwa polskiego.

A. O.

EDWARD LIGOCKI:

PŁONĄCE REIMS.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA. 5)

XIII.

Paryż mało się zmienił. Tramwaje tylko wlokły się wolniej, niż zwykle, i wielkich autobusów pasażerskich zabrakło. Ruch był w mieście ogromny. Tłum, jak zwykle, barwny i pstry. Aż za dużo było w tym tłumie radości życia, wobec grozy, nad miastem wiszącej. Nie przebrzmiały jeszcze właściwie echa bitwy nad Marną. Krótki komunikat wojenny mówił o zakończonym okresie tych walk niebywałych, od których huku trzęsło się niedawno jeszcze całe miasto, niepewne swych dni. Wszystko było trzymane w tajemnicy. O wydarzeniach ostatnich nie wiedział nikt prawie. Wszystko było zakonspirowane, wiadome li tylko wojskom na froncie i to nie w całej rozciągłości. Niebezpieczeństwo, grożące stolicy, zdawało się zażegnanem—a jednak pewności nie miał rząd, ani sztab jeneralny. Pomimo to jednak Paryż tętnił radością, obojętnem weselem, i pławił się w promieniach ciepłego jesiennego słońca, zalewającego ludne, gwarne ulice.

XIV.

Nad rzeką mgły, kurzawa i opary,
nad miastem dym i migotliwe słońce,
młodości czyjejś urągliwe swary,
i Boży sąd,
i to jesienne słońce...

Paryż, samotna skała Tombelaine'y
pośród chłonących piasków Saint-Michel...
I gdzieś we mgle żałące się syreny
i gdzieś we mgle posępność gorzkich dni...
A cały gwar—jak zielsko na mogile—
jesienny czas, wysiłki, żal i trwoga,
w kościołach mrok...
I świece w złotym pyle
i groźny tłum, co nagle ODKRYŁ BOGA—
gdy w nocnej mgle ryknęły dział gardziele
i blady strach zapukał gdzieś do drzwi...

Nad miastem mgły, kurzawa i opary,
w kościołach tłum, i świece, i pokora,
i wybujałe nagle kwiecie wiary,
i rozpryśnięte w tysiąc iskier sny—
i wielka prawda TRWOGI—
(Żołnierze—pokłon wam!)
i korny tłum ubogi
i mroczna głąb Notre-Dame...

Nad rzeką mgły, kurzawa i opary
i Boży sąd,
i to jesienne słońce...

XV.

...ŻE OTO STAŁ SIĘ KONIEC STAROŻYTNEMU ŚWIATU...

Monotonnie, powoli, mijały długie miesiące. Jan Horsztyński walczył gdzieś na froncie, pisał krótkie i dziwnie treści pozbawione listy z okopów. Ciągłość wrażeń wojennych przytłaczała go i zwężała horyzont. Zatracał niemal pojęcie istniejącego poza walką orężną, realnego świata. Życie, przebijające z zawieruszonej wypadkiem do rowu strzeleckiego gazety, wydawało mu się raczej nędznie i mozolnie skonstruowaną opowieścią o życiu. Zresztą zajmowało go wszystko bardzo niewiele. Na pierwszy plan wybijał się instynkt samozachowawczy, walka z wodą i mrozem, z głodem i robactwem.

Kartki Horsztyńskiego były to jedyne listy otrzymywane przez pana Ksawerego. Od synów swoich, walczących w Legionach, nie miał żadnych wieści. Z Paryżem go nic nie wiązało—znajomych nie miał.

Zbigniew Kamieniecki wyjechał do Szwajcaryi, za paszportem księdza Bogusława, który był poddanym rosyjskim. Ksiądz był ciągle w wojsku, w lesie Argońskim na froncie.

To też po długim namyśle pan Ksawery postanowił wyjechać do Szwajcaryi—a stamtąd—kto wie—może nawet do Polski.

XVI.

Stary Krasnopolski przybył w pierwszych dniach listopada 1916 roku do Rapperswylu, zamieszkał w hotelu pod Łabędziem i przez kilka dni chodził sam ze swojemi myślami po starem miasteczku, nie znajomiąc się z nikim z Polaków i wogóle stroniąc od ludzi.

Dni były szaro-słoneczne, dość ciepłe. Nad jeziorem snuła się lekka mgła. Zapach stojącej wody i bliskich trzęsawisk mieszał się z gorzkawą wonią kasztanowych liści, opadających na ziemię i kurczących się po gałęziach. Zbyt ostre było słońce południa, zbyt zimne powietrze nocy jesiennej. Szuwary i trzciny, zalegające oddalone kąty jeziora, bronzowiały, czerniały, ciemnemi plamami odcinając się od szarawej zieleni rozległych łąk.

Pan Ksawery Krasnopolski chodził po długiej, kilkowiorstowej grobli, przerzuconej przez mielizny jeziora i łączącej brzeg Rapperswylski z Pfäffikonem i okolicą Thalwylu. Wczesne zachody niknącego gdzieś za górami słońca krwawe były i bogate przemianą gasnących barw. Szczyty skał, gdzieś daleko nad jeziorem Wallenstädzkiem stojących, białe już były od śniegów i zapalały się o zachodzie słonecznym rąbkiem bladej czerwieni. Brzeg Rapperswylski płaski był prawie, kędzierzawy lasami na wzgórzach odległych, wznoszących się nikłą pochyłością nad wodą i zielenią moczarów. Miasteczko szarzało w mgle—zamek tylko, ostoja wiary polskiej na dalekiej obczyźnie, czerniał zimną masą swych murów, sterczących nad dachami cichego Rapperswylu. Wieże kościelne zrastały się z oddalenia ze starym gmachem obronnym, mieszczącym dziś cały cmentarz polskiego pielgrzymstwa.

Pan Ksawery nie był jeszcze na zamku, ale czuł, patrząc na budynek Muzeum, że to jakaś daleka, odmienna zupełnie przeszłość. Że przewaliły się lata, długie i ciężkie, gorzkie i bolesne—i że ze krwi tej wojny, szalejącej na świecie, rodzi się nowa Polska i nowa legenda.

Rapperswyl ma coś obcego, jakąś nutę beznadziejnej tułaczej przeszłości. Szumi u stóp jego i szemrze zimna fala jeziora, niebo niskie i obce zwiesza się nad wieżami o tej porze jesiennej. Kołysze się wichrom powolne, płytkie, w moczarzyska przechodzące jezioro. Małe miasteczka, obojętne i obce, przeglądają się w wodzie ciemnej, zdradliwej, osnutej nicią pajęczą melancholii i mgły. A w oddalach, gdzie nie widać ani brzegów, ani mgieł, ani wody, snują się ciężkie dymy fabryk Zurychu, posępne i czarne.

XVII.

Wczesnym rankiem pan Ksawery wyszedł z hotelu i powędrował kamiennymi schodami do zamku.

Widok był rozległy, szeroki, z pod wielkich, rosochatych lip, ocieniających bramę wjazdową. Jezioro szarzało w mgle—góry okoliczne odcinały się ciemno-szafirową linią na tle jasnego, chmurami powleczonego nieba. Na jednem z niewielkich wzgórz, na przeciwnym brzegu jeziora, widać było na szczycie kaplicę. Pan Ksawery domyślał się, że to zapewne kościołek, w którym często modlił się i dumał Towiański.

Muzeum było jeszcze zamknięte. Pan Ksawery usiadł na ławce, pod lipami, i czekał. Wszystko było naokoło puste i martwe. Z dołu, od miasteczka, rzadko kiedy dolatywał dźwięk głosów ludzkich, czy odgłos kroków po kamieniach ulicy. Kłęby białego dymu unosiły się z nad zabudowań kolei. Wozy ładowne ciężko i powoli posuwały się po grobli, wrzynającej się pod kątem w jezioro...

Cała gorycz pokoleń, opłakujących stracony ogień i rozmach czynów powstańczych, wiecznie żywa i dumna pokora zdruzgotanych poświęceń żyła tutaj, w tych murach, w tym kamiennym grobie nadziei. Pan Ksawery czuł, że Rapperswyl jest jednem wielkiem epitaphium, wyrytem krwią i żalem zmarnowanych na obczyźnie pokoleń—że jest skałą mogilną, domem smętku i śmierci.

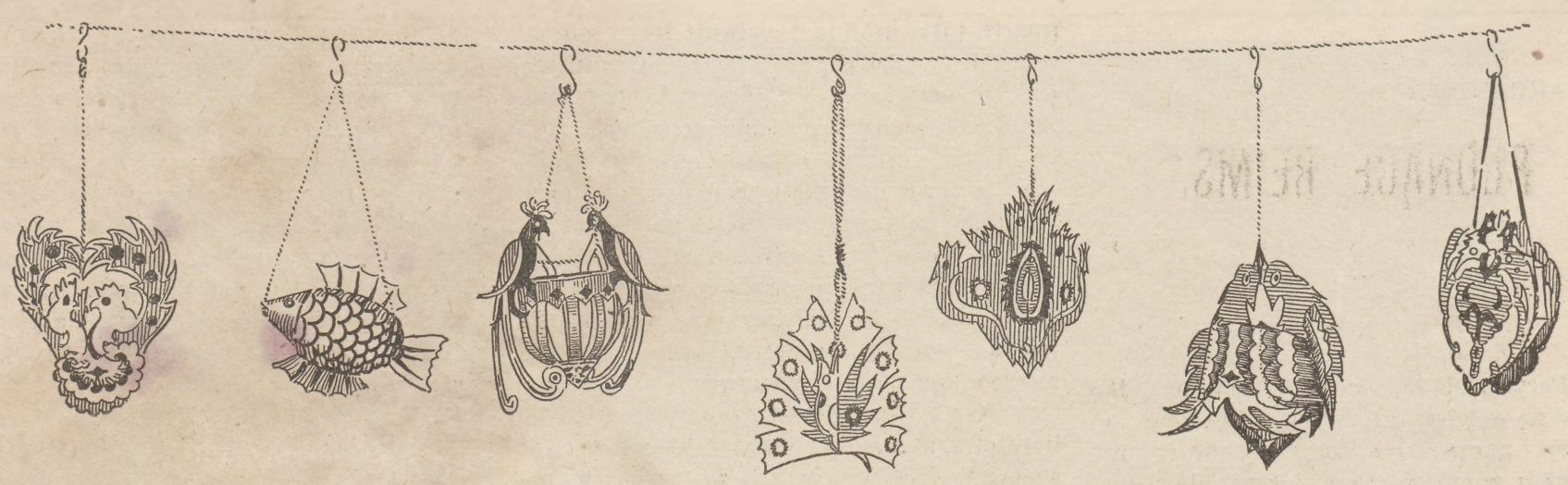
Z dołu, od schodów, zbliżał się do bramy zamkowej człowiek o siwej, krótko strzyżonej brodzie, jasnych, niebieskich oczach i łagodnym wyrazie twarzy. Człowiek ten czytał idąc gazetę—zatrzymywał się, patrzył w szaro-błękitną przestrzeń wody i gór. Wzrok jego zatrzymał się chwilę na Krasnopolskim—poczem znów zsunął się na zadrukowany papier gazety.

Nieznajomy usiadł na sąsiedniej ławce, położył obok tekę i parasol, i rozwinął czytany dziennik. Nagle ręce mu się zatrzęsły, gazeta osunęła na ziemię. Wyglądał, jakby zwaliła mu się na barki gorycz złej a niespodziewanej nowiny.

Pan Ksawery wstał mimowoli i podszedł kilka kroków. Nieznajomy schylił się, podniósł gazetę i wyciągnął ku niemu.

Henryk Sienkiewicz gestorben in Vevey—stało czarnym, wyraźnym drukiem na szarem tle szpalt dziennika.

(DCN)



POLSKIE OZDOBY CHOINKOWE.

Z inicyatywy Wydziału Rzemiosł i Drobnego Przemysłu Ministerstwa Przemysłu i Handlu powstała w Warszawie w Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej Szkoła Zabawkarska. Cele, jakie sobie postawiła, były: stworzenie zabawki w charakterze czysto polskim, oraz przygotowanie szeregu wykwalifikowanych pracowników zabawkarskich, których u nas dotychczas zupełnie brakowało. Kierownictwo Szkoły powierzono inż. B. Mańkowskiemu, oraz artystom malarzom pp. Al. Grzybowskiemu i M. Wertenstein. Pierwszy kurs (polskie ozdoby choinkowe) został już ukończony, wydając kilkudziesięciu wykwalifikowanych pracowników i pracownic, których wytwory zostały wystawione w tegorocznym Salonie Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, gdzie je właśnie oglądamy. Już to samo jest najlepszem świadectwem dla nowo powstałej placówki. O ile nam wiadomo, inż. Mańkowski zajmuje się organizacyą poważniejszych kapitałów polskich na stworzenie wielkiej polskiej fabryki, któraby wreszcie pozwoliła nam wyrugować niemiecką zabawkę z rąk dziecka polskiego. Nie wątpimy, że znajdzie dużo chętnych, którzy pośpieszą z ulokowaniem swoich kapitałów w przedsiębiorstwie, rokującem jak najlepsze nadzieje zysków już chociażby ze względu na chętny nader pokup za granicą charakterystycznych polskich zabawek.

ZABAWKARSTWO W POLSCE.

MOŻLIWOŚĆ JEGO ROZWOJU NA PODSTAWIE PRZYKŁADÓW PAŃSTW OBCYCH.

□□

Już na długie lata przed wojną kwitł w Niemczech niezwykle bujnie przemysł zabawkarski. Szczególnie Norymberga i jej okolice, miejscowość Sonneberg i wsie Schwarzwaldu były olbrzymiemi ogniskami zabawkarskiego przemysłu wszelkiego rodzaju. Zabawki drewniane, sprzęty kuchenne i mebelki, klocki i kubusy, zwierzęta domowe kolorowe, domina, dalej żołnierze z ołowiu i blachy lub cyny, zbroje, parowozy, wagoniki, wózki, automobile, bicykle i inne figle z sztucznymi mechanizmami, porcelanowe i szklane naczynia dla dziewcząt ek, lalki celuloidowe, porcelanowe, wypychane, ubierane lub nie, pajace z gumy czy celuloidowe, piłki przeróżne, układanki, wyszywanki, wzorniki, nalepianki, gry towarzyskie, wreszcie świecidła choinkowe—oto olbrzymia rozmaitość wytwórczości niemieckiej, obmyślana na zaspokojenie wszechstronnych wymagań klienteli, tak aby nie wypuścić z ręki żadnej gałęzi, żadnego działu zabawkarstwa.

Znana organizacya niemiecka, łączenie się w związki, wydawanie czasopisma informującego o stanie produkcyi, zapotrzebowaniu tego lub owego kraju o korzystnych rynkach zbytu lub o źródłach surowca, czy półfabrykatów, dalej urządzanie peryodycznych jarmarków i wystaw dla własnych, a zwłaszcza zagranicznych kupców—wszystkie te celowe usiłowania doprowadziły zabawkarstwo niemieckie do stanu świetności. Można powiedzieć, że Niemcy objęły światowy monopol zabawkarstwa, zasilając swym towarem nie tylko rynki wszystkich państw europejskich, ale także eksportując masowo do Stanów Zjednoczonych, Kanady, Ameryki Południowej, Afryki i Indyi. Pokrywały one same 4/5 całego eksportu obu półkul. Przed wojną cyfra samego eksportu zabawek z Niemiec przekroczyła 100 milionów marek rocznie. Sama Norymberga eksportowała za granicę za 30 milionów rocznie.

Niezmierna taniość towaru niemieckiego stanowiła wprost zabójczą konkurencyę dla przemysłów zabawkarskich w innych państwach, tak iż wszędzie rozwój zabawkarstwa był tamowany, niejako wegetował tylko pod cieniem przemożnego rywala niemieckiego.

Taniość towaru osiągnęli zaś Niemcy dzięki istnieniu surowca u siebie w kraju (np. drzewo w Schwarzwaldzie) lub we własnych koloniach (guma, lakiery, farby, metale), a dalej dzięki technicznej wyższości, osiągniętej długoletnią wytrwałą praktyką w kierunku udoskonalania maszyn i umiejętnego wykorzystywania pracy robotników przez rozłożenie jej na najprostsze elementy.

Jeżeli przy takiej konkurencyi zdołał się oprzeć jaki taki przemysł zabawkarski w innych państwach, Francyi, Anglii, to tylko dzięki swym odrębnym cechom swojskim, które stanowiły atrakcyę wobec banalnej i pozbawionej estetycznego charakteru zabawki niemieckiej. To była jedyna broń wobec niemieckiej rywalizacyi.

Z wybuchem wojny i zamknięciem granic poszczególnych państw Entente'y od strony Niemiec, stosunki zmieniły się i umożliwiły szybkie podnoszenie się i rozwój przemysłów zabawkarskich tych państw. Przyczyniła się do tego nienawiść narodowa i słuszne oburzenie, że dotychczas dzieci francuskie, czy angielskie lub włoskie bawiły się prawie wyłącznie konikami i żołnierzami z Niemiec.

Energicznie poparte przez rządy i przez związki przemysłowe hasło walki z przemysłem wrogim znalazło szybką realizacyę. Wszędzie starano się śpiesznie wyzyskać pomyślną sytuacyę i poprzeć własny rozwój, by po wojnie stanąć zupełnie przygotowanym do odparcia szturmów niemieckich fabrykantów.

We Francyi, która pierwsza przejęła się ideą walki odpornej, powstały związki, jak „Związek zabawki dziecięcej", „Towarzystwo zabawek francuskich", które zakładały liczne szkoły zabawkarskie dla inwalidów i dla robotników domowych, a także warsztaty wzorowe stałe w Paryżu i na prowincyi. Dla szerszej agitacyi urządzono kilka wystaw w Lugdunie, Paryżu, Medyolanie, na wzór niemieckich jarmarków lipskich.

Czując, że słabą stroną zabawek niemieckich jest ich międzynarodowa banalność i strona estetyczna, dążyli i dążą francuscy przemysłowcy do wydoskonalenia tej właśnie strony i do nadania zabawkom francuskim charakteru typowego i artystycznego. Dzieje się to naturalnie z pomocą i pod okiem artystów-malarzy i rzeźbiarzy. Już dziś widoczne są duże rezultaty na tem polu.

Jeszcze poważniej przedstawia się dla Niemiec sprawa z rywalami angielskimi, amerykańskimi i japońskimi. Wszędzie uświadomione usiłowanie wyzyskania chwilowej sytuacyi wydało plony olbrzymie, a dla Niemców groźne.

Rząd angielski poparł również energicznie sprawę samoobrony rodzimego przemysłu, ilość fabryk, wyrabiających masowo, wzrosła ogromnie, tak, że nie tylko zaspokajają one przeważnie zapotrzebowanie krajowe, ale współubiegają się ze Stanami i Japonią o rynki zewnętrzne. Tutaj większą rolę gra wydoskonalenie strony technicznej produkcyi, aniżeli artystycznej.

W Ameryce, która była niedawno głównym odbiorcą zabawek niemieckich, dziś własna produkcya przewyższa dwukrotnie import i wystarcza na eksport do Kanady, Stanów Południowych i do Europy. Specyalnością Stanów Zjednoczonych są gry towarzyskie i ogrodowe, skarbonki, latarnie magiczne, orły, zabawki mechaniczne, klocki, koleje i t. d. Jak prawdziwie po amerykańsku wzrastają cyfry rocznego eksportu, dowiadujemy się z poniższego zestawienia:

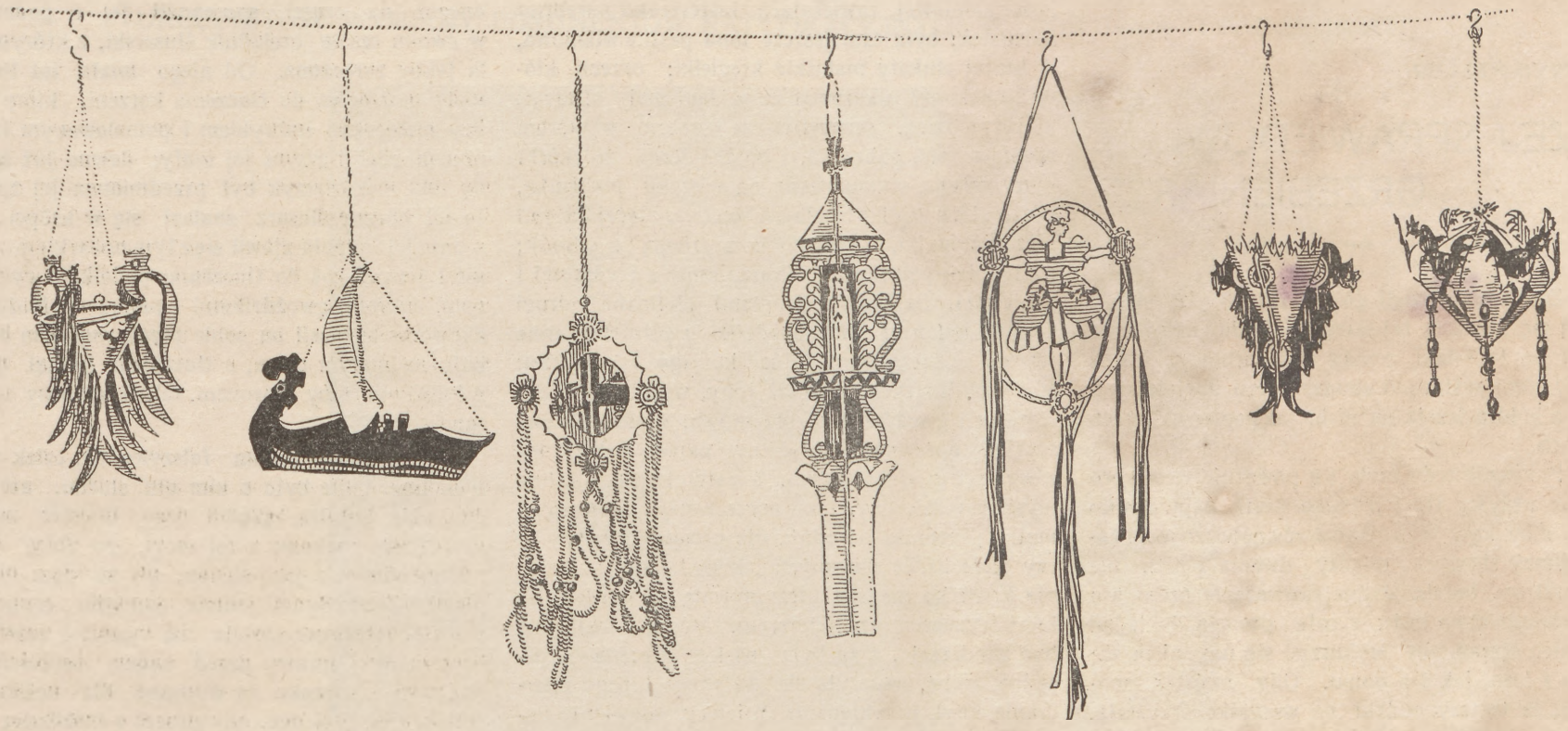
Przed wypowiedzeniem wojny	800.000 proc.
W roku 1916/17	1.806 000 „
W roku 1917/18 około . . .	3.000 000 „

Co do Japonii, ta z właściwą sobie gorliwością i sprytem przystąpiła do akcyi na swoim terenie. Korzystając z niezmiernie taniej siły roboczej, potrafiła zrobić najsilniejszą konkurencyę w dziale tanich zabawek, tej właśnie tandety jarmarczno-straganowej, w której celowały Niemcy. A więc charakterystyczne lalki szmaciane, zabawki z drzewa, z gumy, metalu, tkanin, a zwłaszcza bardzo oryginalne i ładne z bambusu i papieru.

Podczas kiedy z roku 1914 eksport japoński wynosił 2,6 mil. jenów, to w r. 1918-ym wzrósł prawie czterokrotnie do 8 4 mil. jenów.

Ciekawe jest, że rząd japoński, żywo zainteresowany sprawą podniesienia tego przemysłu na eksport zagraniczny, roztoczył nad nim opiekę i kontrolę przez laboratorya, muzea, a nawet stacye badań jakości towaru na wywóz (dotychczas szkodziła wywozowi licha jakość).

Powyższy rzut oka na stan i szybki rozwój zabawkarstwa w kilku ostatnich latach w wielu krajach otwiera przed nami szerokie horyzonty możliwości i nadziei. Czyż i u nas, w Polsce, nie dałoby się wprowadzić na szerszą skalę pewnych gałęzi produkcyi zabawkarskiej, jako przemysłu, którego stworzenie i rozwój spotykają się może



POLSKIE OZDOBY CHOINKOWE.

z mniejszemi trudnościami, niż wielu innych przemysłów?

Myślę tu na razie o zabawkarstwie drzewnem i papierowem, łatwiejszem do rozpowszechnienia i dostępniejszem, ze względu na materyał i technikę.

Co do pierwszego z materyałów, posiadamy u siebie poddostatkiem drzewa, a więc nie potrzebujemy nabywać go drogo za granicą. A jest to bardzo ważny plus ze względu na nasze stosunki walutowe. Również technika nieskomplikowana tego przemysłu, czyto jako przemysłu maszynowego w produkcyi masowej, czy też jako przemysłu domowego, pozwala na uruchomienie z miejsca w formie, pozostawiającej stosunkowo niewiele do uzupełnienia. W przemyśle tym dodatnim momentem jest u nas istnienie w wielu okolicach pewnych tradycyi rodzimego wyrobu zabawek typowych dla danych stron, a niepozbawionych pierwiastków artystycznych. Szczególnie ze względu na rozpowszechnienie zabawkarstwa, jako przemysłu domowego, dałyby się dodatnio wyzyskać owe rodzime zdolności i skłonności artystyczne naszego ludu, i ta właśnie typowa swojskość modeli byłaby bronią naszej domowej produkcyi zabawek przeciw konkurencyi obcego, głównie niemieckiego importu. Niepodobna, aby do gustu polskiego nie przemówiła żywiej i bardziej wabiąco zabawka o cechach swojskich, rodzimych, aniżeli prawdziwie internacyonalny, banalny i przeważnie brzydki wytwór fabryk niemieckich.

Przechodząc do drugiego działu projektowanego, t. j. zabawkarstwa papierowego, musimy tu mieć głównie na uwadze wyrób ozdób choinkowych, który, jako przemysł sezonowy, korzystnie byłoby połączyć z wyrobem kotylionów, oraz pudełeczek i figielków cukiernianych. I tu bezwzględnie momentem przyciągającym klientelę, a tem samem dającym punkt oparcia przeciw świecidłom niemieckim, powinien być pierwiastek artystyczny, ze szczególnem uwzględnieniem sztuki ludowej. Ta gałąź przemysłu, wymagająca niezmiernie mało technicznego przygotowania, a także siły fizycznej, stosowna jest jako zajęcie domowe i uboczny zarobek kobiet i sił młodocianych.

Doświadczenie, zrobione przeze mnie na młodocianych wytwórcach z warstw proletaryatu podmiejskiego, wykazało, że drzemie w ludzie duża ilość niepodejrzewanej zupełnie artystycznej pomysłowości, która rozwija się bardzo pomyślnie pod umiejętnym, lecz swobodnym kierunkiem.

Jeżeli chodzi o materyał, potrzebny do papierowych ozdób, to nie posiadamy wprawdzie, przynajmniej na razie, krajowych fabryk ozdobnych, kolorowych papierów, tektur, bibułek, kartonów i t. d., lecz zauważyć trzeba, że przy tym właśnie rodzaju produkcyi przeważną gra rolę (ze względu na cenę) włożona duża jednostka pracy, w stosunku do niewielkiej wartości zużytego materyału. Nie należy się więc obawiać, że drogo zapłacony materyał z zagranicy podniesie w tym stopniu cenę wyrobów, że staną się zbyt drogie w stosunku do gotowych wyrobów stamtąd sprowadzonych.

Jeżeli jest nadzieja, że zdołalibyśmy gorliwemi usiłowaniami na wzór państw obcych stworzyć u nas przemysł zabawkarski, to myślimy nie tylko o możliwości opanowania nim naszego rynku wewnętrznego, t. j. o wyparciu niemieckiego towaru, za który my, kraj ubogi, tyle rok rocznie wysyłamy. Prócz pokrycia własnego, krajowego zapotrzebowania, dążyć musimy do zdobycia sobie pewnych atutów na rynkach zagranicznych, gdyż eksport będzie zawsze dążeniem i celem każdego żywotnego przemysłu, a także będzie jedną z dźwigni dla naszej waluty.

Tutaj niech nam będzie zachętą przykład Francyi, która zdobyła sobie krajową i obcą klientelę pielęgnowaniem jakości zabawek swoich, staraniem o formę swoistą, gustowną, prawdziwie wynikającą z ducha rasy i narodu.

Powołaniem do współpracy artystów naszych dążyć mamy i my do doskonalenia smaku zabawek naszych i do ochrony od banalnego skażenia tego, co jest swoistem i rodzimem pięknem.

Już dziś obcy (Amerykanie, Francuzi, Holendrzy) sami zgłaszają się do nas i czynią poszukiwania i zamówienia na zabawki nasze o typie charakterystycznym, krajowym — takie bowiem jako nowość, odmiana, stanowią pewną przynętę egzotyzmem swoim. Można powiedzieć, że powiała właśnie moda „polszczyzny" (jak niedawno japońszczyzny), którą powinniśmy umieć wyzyskać na korzyść zainicyowania naszych stosunków eksportowych.



Z drugiej strony jednak nie powinniśmy tracić z oczu przykładu Anglii, czy Stanów Zjednoczonych, które masowością i udoskonaleniem technicznem produkcyi masowej walczą o lepsze z niemiecką konkurencyą. Nie wystarczą bowiem dla zróżnicowanych potrzeb różnych warstw społeczeństwa same wytwory wybrednego smaku — liczyć się trzeba zawsze z masą, lgnącą do tandety jarmarcznej i przywabianej przedewszystkiem niską ceną. To jest nawet dzisiaj klientela liczniejsza wobec zubożenia warstw inteligentnych. I dla tej trzeba przygotować produkcyę fabryczną na wielkę skalę, uzbrojoną w udoskonalone maszyny i procedery techniczne, obniżające do minimum cenę produktów. Tylko takim sposobem zdołamy stawić opór zalewowi lichych zabawek i świecideł— produktów masowej fabrykacyi niemieckiej.

Tego rodzaju towar będzie też mógł być przedmiotem eksportu na Wschód — do sąsiedniej Litwy i Rosyi, gdzie niższa kultura takim właśnie wyrobom gotuje przyjęcie. Tu dodatnio na przebieg naszej walki konkurencyjnej z Niemcami wpłynie okoliczność bliższego sąsiedztwa, a także większej znajomości tamtejszych potrzeb i kultury.

Układając konjunktury rozwoju naszego przemysłu zabawkarskiego na eksport, nie można zapominać o jednym momencie, na ogół gnębiącym nas, ale dla eksportu naszego bardzo pomyślnym. Jest nim niesłychanie niski stan naszej waluty. Towar nasz, nawet ten, który u nas w kraju wydaje się drogi — staje się wprost bajecznie tanim, gdy dopłynie do wybrzeży Francyi, Anglii, czy Ameryki, i tą taniością swoją zdobyć może dla siebie chętne przyjęcie. Jest to na pozór paradoksalne — rzeczywistość jednak stwierdza to: cieszą się złym stanem waluty niemieckiej eksporterzy niemieccy — smucą się odwrotnym stosunkiem ich rywale angielscy, czy amerykańscy, którzy nie są w stanie przeciwstawić im cen równie niskich.

Inż. Bronisław Mańkowski.

GOTFRYD KELLER:

TRZEJ SPRAWIEDLIWI GRZEBIENIARZE

oo

3)

Zaraz, gdy wzięli go w łóżku między siebie, okazał się Szwab z tej samiutkiej gliny ulepionym i leżał jak kij—taki prosty i nieruchomy, tak iż między nimi zostawało zawsze nieco miejsca wolnego, a kołdra leżała na nich, jak papier na trzech śledziach.

Położenie tedy stało się poważniejsze, skoro bowiem wszyscy trzej jednako stali naprzeciwko siebie, niby kąty w trójkącie równobocznym, i żaden bliższy stosunek między dwoma z nich nie był możliwy, tudzież żadne zawieszenie broni, ani współzawodnictwo miłe: z całą powagą dokładali wszelkich starań, by wykurzyć się nawzajem zarówno z łoża, jak i z domu. Gdy majster spostrzegł, że te trzy cudaki na wszystko przystają, aby tylko zostać na miejscu, urywał im z płacy i dawał wikt skąpszy; oni jednak przykładali się do roboty tem pilniej i dali mu możność puszczania w obieg wielkiej ilości towaru taniego i czynienia zadość mnożącym się wciąż zamówieniom, tak iż dzięki cichym czeladnikom zarabiał pieniędzy co niemiara i miał w nich istną kopalnię złota. Popuścił pasa aż o kilka dziurek i robił z siebie w całem mieście wielkiego pana, a tymczasem te głuptaki zapracowywały się w ciemnym warsztacie dniem i nocą, by się nawzajem stąd precz wysadzić. Szwab Dytrych, najmłodszy z nich, okazał się wyciosany na tę samą modłę, jak dwaj tamci, tylko że nie miał jeszcze żadnych oszczędności, jako że za mało dotąd wędrował. Ta okoliczność byłaby dlań groźną, bo Jobst i Frydolin za bardzo go wyprzedzili, gdyby, jako pomysłowy Szwabek, nie wywołał dla się nowej mocy czarodziejskiej, aby przewagę tamtych wyrównać. Ponieważ dusza jego próżna była wszelkiej namiętności, tak samo, jak i dusze jego współtowarzyszy, z wyjątkiem tej jedynej, by właśnie tutaj, nie gdzieindziej się osiedlić i dobrze urządzić, więc umyślił sobie, żeby się zakochać i starać o rękę osoby, którąby mniej więcej posiadała tyleż, ile Sas i Bawar mieli schowane pod cegłami. Było to jedną z nielicznych, zresztą, zalet Seldwilan, iż nie żenili się z kobietami brzydkiemi lub niemiłemi gwoli trochy grosza; co prawda, to i pokus wielkich nie mieli, bo w mieście brakło bogatych spadkobierczyń, zarówno ładnych, jak i brzydkich; to też zdobywali się przynajmniej na męstwo gardzenia drobnymi okruchami i wiązali się raczej z wesołemi i ładnemi osóbkami, któremi mogli przez lat kilka paradować. Przeto węszącemu wszędy Szwabkowi nie trudno było utorować sobie drogę do cnotliwej dziewicy, która mieszkała opodal i o której wywiedział się w rozmowach roztropnych ze staremi babami, że jest posiadaczką listu zastawnego na siedemset guldenów.

Była to Zezia Byncli, panna, licząca lat dwadzieścia ośm, która mieszkała społem ze swą matką, praczką, lecz ową spuścizną ojcowską władała niepodzielnie. List ów trzymała w małej lakierowanej skrzynce, w której chowała prócz tego i kupony, i metrykę, i świadectwo konfirmacyi oraz pozłocone i malowane jajko wielkanocne; dalej —pół tuzina srebrnych łyżeczek, „Ojcze Nasz" drukowane złotem na czerwonym przezroczystym batyście szklanym, który nazywała skórą ludzką; pestkę wiśniową z wyrzeźbioną wewnątrz Męką Pańską i szkatułkę z wykładanej na czerwonej tafcie kości słoniowej, zawierającą lustereczko i srebrny naparstek; była tam jeszcze inna pestka wiśniowa, w której stukały maluśkie kręgielki; orzech, który otworzony ukazywał za szkłem mały ołtarzyk z Bogarodzicą, serduszko ze srebra, w którem tkwiła wonna gąbeczka, i bombonierka ze skórki cytrynowej z wymalowaną na wieczku poziomką, gdzie złota szpilka leżała na wacie, mającej kształt niezapominajki, i medalionik z ozdobą z włosów; następnie—pęk pożółkłych papierów z receptami i sekretami, flakonik z kroplami Hofmana i drugi z wodą kolońską oraz puzderko z piżmem; inne jeszcze ze szczątkiem łajna kuniego i koszyczek z ziół pachnących, jako też inny, wyrobiony z paciorków i gwoździków korzennych; wreszcie książeczka, oprawna w błękitny papier żeberkowy z wyciskiem srebrzystym, a zatytułowana: „Złote myśli dla dziewicy, jako narzeczonej, małżonki i matki"; i sennik, poradnik dla piszących listy, pięć czy sześć listów miłosnych i żegadło do puszczania krwi: bo niegdyś utrzymywała stosunek z jakimś fryzyerem czy felczerem, którego małżonką być zamierzała, a że była wielce zręczną i rozsądną osobą, nauczyła się od swego lubego puszczania krwi, przykładania pijawek, stawiania baniek i tym podobnych rzeczy, a nawet mogła go już sama golić. Aliści okazał się człowiekiem niegodnym, przy którym całe szczęście żywota swego snadnie postradaćby mogła, to też po smutnej i rozważnej decyzyi stosunek ów zerwała. Podarki zwrócono sobie obustronnie, z wyjątkiem tylko żegadła; zatrzymała je jako zastaw za guldena i centów czterdzieści ośm, które mu razu jednego w gotowiźnie pożyczyła; niegodziwiec twierdził, jednak że nic jej nie jest dłużny, ponieważ pieniądze owe wręczyła mu na jakimś balu dla pokrycia wydatków, zjadła zaś wówczas dwa razy tyle, co on. Tak więc przy nim zostały gulden i owe czterdzieści ośm centów, ona zaś posiadła żegadło, którem z miejsca puszczała krew wszystkim swoim znajomkom i zarabiała przytem grosik nielada. Lecz za każdym razem, gdy posługiwała się tym przyrządem, z bólem serca myśleć musiała o nikczemności tego, który był jej tak bliski i niebawem miał stać się jej małżonkiem!

Wszystko to zawarte było i szczelnie zamknięte w lakierowanej skrzynce, ta zaś była schowana w starej szafie orzechowej, od której klucz Zezia Byncli stale przy sobie nosiła. Sama zaś osoba ta miała włosy cienkie czerwonawe, a oczy niebieskie wodniste, które nie były zgoła bez powabu, a patrzyły czasem łagodnie i mądrze; posiadała mnóstwo ubiorów, z których nosiła tylko niektóre i to zazwyczaj najstarsze, ale zawsze była starannie i schludnie odziana, a niemniej czysto i porządnie wyglądało w jej pokoju.

Pracowita była bardzo i pomagała swej matce w praniu, prasując bieliznę cieńszą i piorąc czepeczki i mankietki Seldwilanek, co przynosiło jej wcale ładny grosz; z tej czynności pochodziło to zapewne, iż w każdym tygodniu przez dnie, kiedy odbywało się pranie, trzymał się jej ów surowy i skupiony nastrój, jaki zwykle napada niewiasty w czasie prania, i że nastrój ten utrwalił się w niej raz na zawsze w dnie owe; dopiero przy prasowaniu ogarniała Zezię większa pogoda ducha, przyprawiana u niej zwykle pewną dozą mądrości. O skupionym umyśle świadczyła także główna ozdoba w jej mieszkaniu—wieniec z czworokątnych, dokładnie odmierzonych cyrklem kawałków mydła, które gwoli stwardnienia, aby były przydatniejsze, leżały dookoła na gzymsie jodłowej buazeryi.

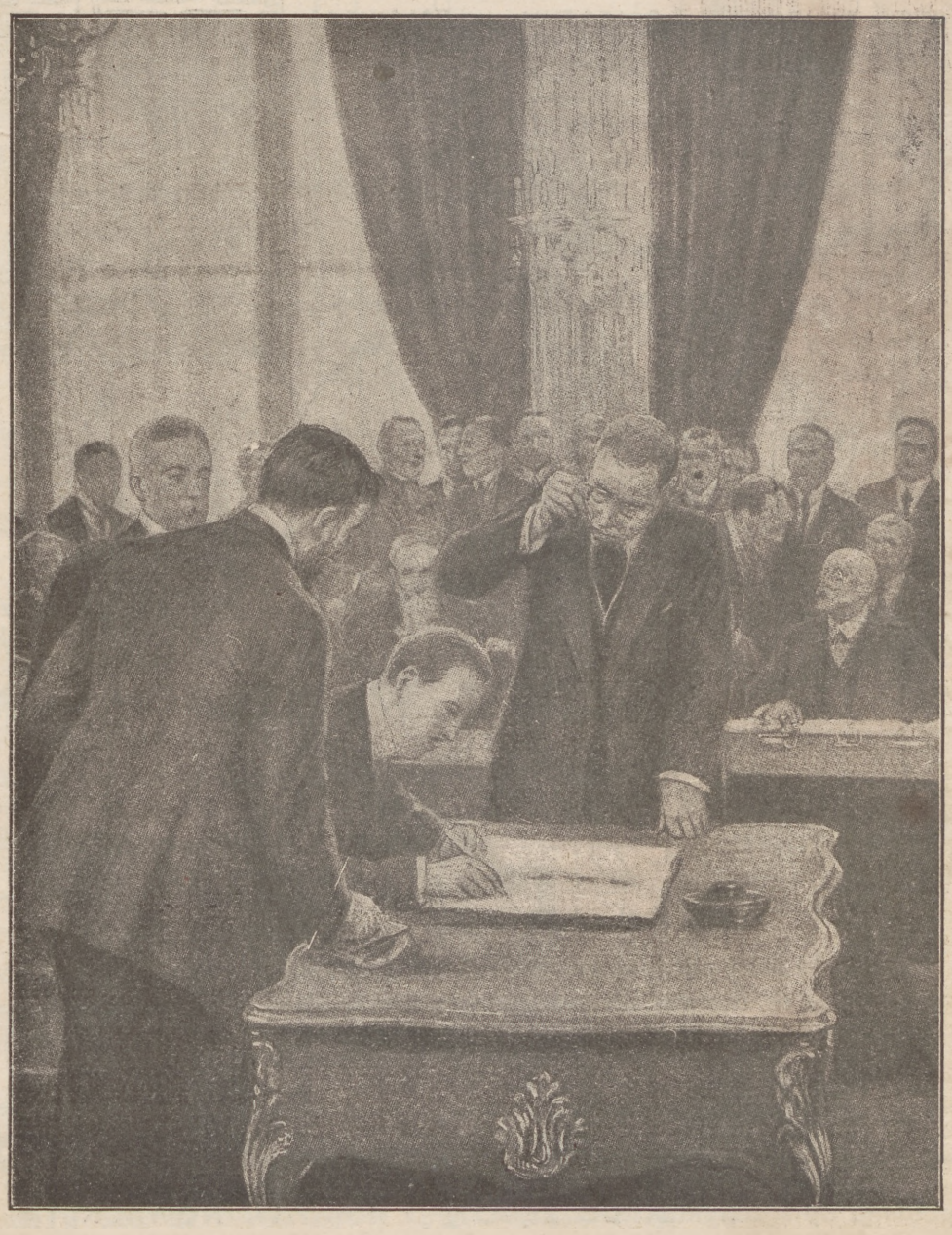
Kawałki te odmierzała i drutem mosiężnym wykrawała z świeżych tafli zawsze Zezia sama. Drut miał na końcach dwie drewniane poprzeczki dla dogodniejszego ujmowania i przekrawania miękkiego mydła; piękny zaś cyrkiel do dzielenia onegoż na części sporządził jej i podarował w swoim czasie czeladnik ślusarski, z którym była jakby zaręczona. Od niego miała też lśniący mały moździerz do tłuczenia korzeni, który między niebieskim imbrykiem i pomalowanym kwietnikiem zdobił gzyms jej szafy; dawno już zgrabny taki moździerzyk był przedmiotem jej życzeń, to też baczny ślusarz znalazł się w kropce, gdy w dniu jej imienin zjawił się z tym podarkiem i przyniósł jeszcze coś do tłuczenia: pudełko z cynamonem, cukrem, gwoździkami i pieprzem. Moździerz naówczas zawiesił on sobie przed wejściem do pokoju na małym palcu, a tłuczkiem począł dzwonić pięknie, niby dzwonem, tak iż radosny to był ranek.

Ale rychło potem fałszywy ten człek zwiał z okolicy, i nie było o nim ani słuchu, ani duchu. Na dobitkę zażądał jego majster zwrotu moździerza rzekomo z tej racyi, że zbieg wziął ten przedmiot z jego sklepu, ale za rzecz nie zapłacił. Zezia Byncli jednak pamiątki cennej nie wydała, jeno procesowała się mężnie i zawzięcie, broniąc swej sprawy przed sądem osobiście na podstawie rachunku za wyprane dla uciekiniera półkoszulki. Dni one, gdy proces o moździerz prowadzić była zmuszona, stanowiły najdonioślejsze i najbardziej bolesne chwile w jej życiu, albowiem głębokim swym umysłem rzecz tę, a zwłaszcza stawanie przed sądem w sprawie tak delikatnej, pojmowała ona i odczuwała o wiele żywiej, niż inni lekcy ludzie. Jednak odniosła zwycięstwo i zatrzymała moździerz.

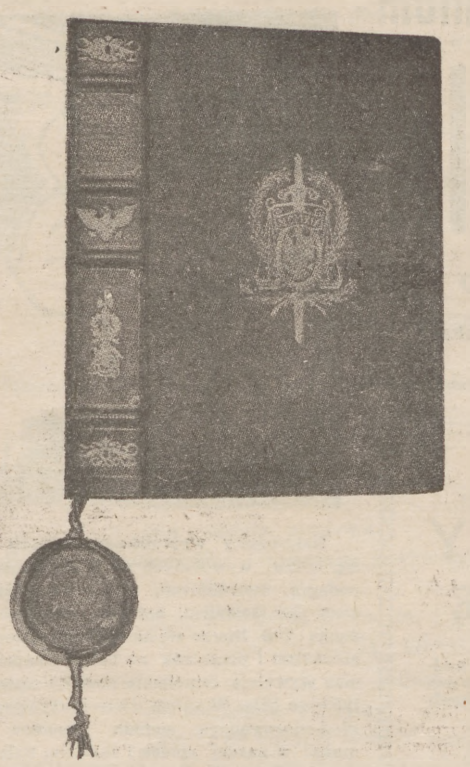
Jeżeli ozdobna galerya z mydeł znamionowała jej skrzętną zabiegliwość i dokładność, to niemniej podniosłego jej i wyszkolonego ducha zalecała kupka wszelakich książczyn, leżących na oknie w warstwach uporządkowanych jedna na drugiej, a które w niedziele pilnie czytywała. Posiadała jeszcze wszystkie podręczniki szkolne z dawnych lat—nie zgubiła ani jednego, a takoż miała w pamięci całą tę drobną uczoność, więc mogła recytować bez zająknienia się i katechizm, i deklinacye, reguły rachunku i nazwy geograficzne, dzieje biblijne i świeckie wypisy; posiadała również niektóre z ładnych historyjek Krzysztofa Schmida i tegoż powiastki z grzecznymi wierszykami na końcu, z pół tuzina różnych skarbczyków i ołtarzyków do porady, zbiór kalendarzy, pełnych wypróbowanej i różnorakiej mądrości, kilka niezwykłych przepowiedni, wskazówki do stawiania kabały, rozmyślania pobożne na wszystkie dni roku dla dziewic myślących i stary egzemplarz „Zbójców" Schillera, których odczytywała zawsze, ilekroć jej się widziało, iż dostatecznie treści ich nie pamięta; a za każdym razem wzruszała się na nowo, prawiła jednak o tem bardzo rozsądne i światłe mowy. Wszystko, co książki te zawierały, miała ona w swej głowie, a potrafiła mówić o tem i o wielu jeszcze innych rzeczach jak najcudniej. Kiedy bywała zadowolona i niezbyt zajęta, rozbrzmiewały z ust jej mowy bez końca, a każdą rzecz umiała omówić i ocenić, i wszyscy —młody czy stary, wielki czy mały, wykształcony czy nieuk—musieli od niej się uczyć i jej sądowi się poddać, gdy ona uśmiechnięta lub zamyślona słuchała wpierw z uwagą, o co rzecz się toczy; mówiła czasem tak wiele i z takiem namaszczeniem, jak uczona niewidoma, która nic ze świata Bożego nie widzi, a ma tę jedyną przyjemność, że słyszy dźwięki swego głosu.

(DCN)

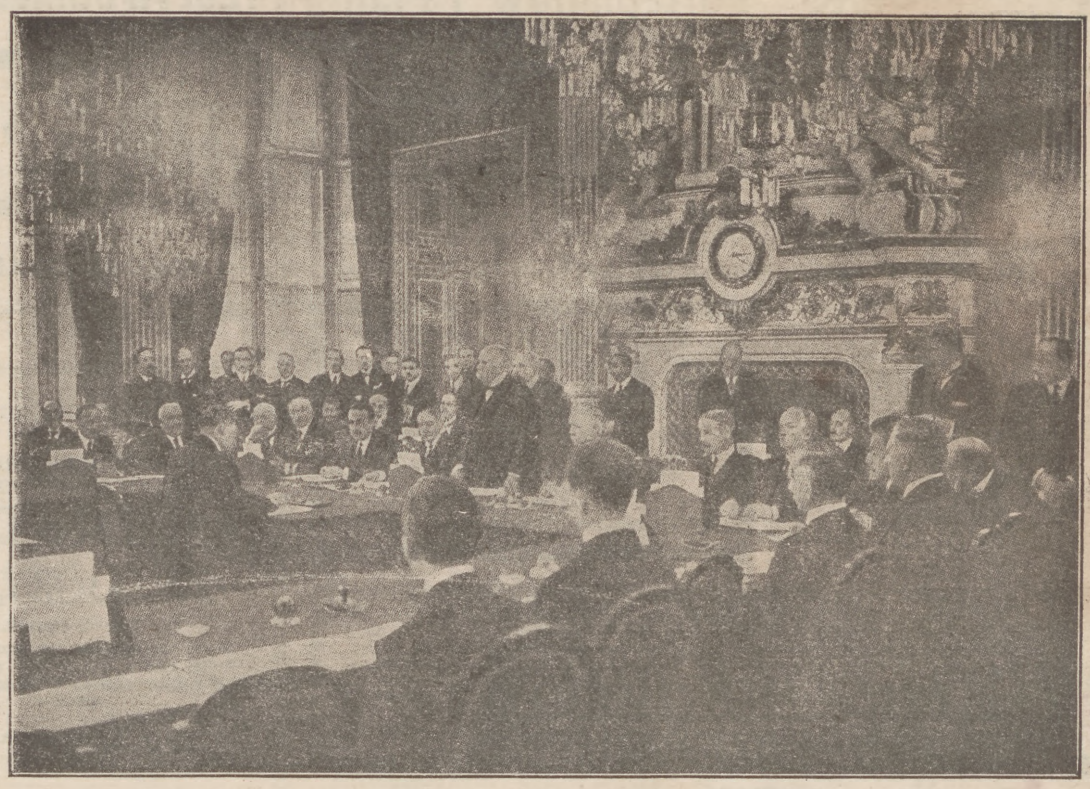
UROCZYSTOŚĆ WYMIANY DOKUMENTÓW RATYFIKACYJNYCH W DNIU 10-ym STYCZNIA 1920 r.



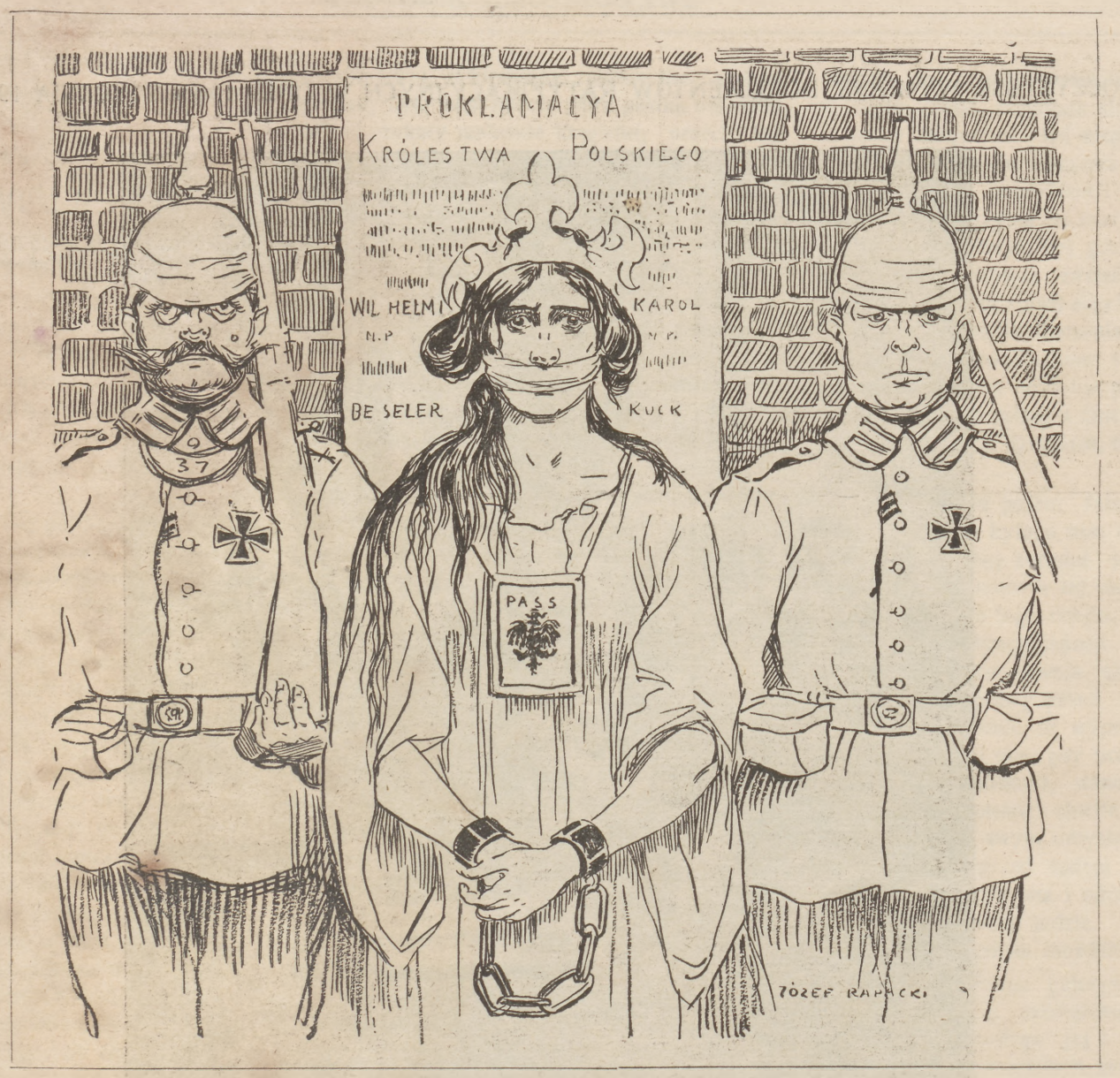
Von Lersner podpisuje ratyfikowany traktat.



Egzemplarz polski ratyfikowanego traktatu wersalskiego.



W Sali Zegarowej ministeryum spraw zagranicznych w Paryżu. Clemenceau oświadcza, że traktat wersalski wchodzi w życie d. 10-go stycznia 1920 r. o godz. 4-ej m. 16 po poł.



Ilustracya wstępna albumu J. Rapackiego: „Prusak w Polsce" (Pro memoria).

CRÊME DE LUXE udelikatnia cerę zapobiega opierzchaniu

PROSZEK I ELIKSIR DO ZĘBÓW Warsz. Labor. Kosmetyczne W. NOWACKI i S-ka

Warszawa, Służewska 2 Tel. 269-10

EGZ OD 1860
J. KUCZMIEROWSKI
FABRYKA I MAGAZYN
WYROBÓW SKÓRZANYCH
WARSZAWA: MARSZAŁKOWSKA 108
UWAGA. FILJI NIE POSIADAM
POLECA:
KUFRY PORTMONE
NESESERY PORTFELE
MANICURY PASKI
WALIZY TOREBKI
TORBY DAMSKIE
PRZYBORY PODRÓŻNE I SPORTOWE
SPECJALNY DZIAŁ ZAPRZĘGÓW I SIODEŁ.
WYROBY TYLKO SOLIDNE
CENY NIZKIE

SKŁAD
Fortepianów i Pianin
pierwszorzędnych fabryk
BECHSTEIN
Riegert i Ginter
Warszawa, JASNA 6
róg Boduena.
Wyłączna sprzedaż instr. klasycznej marki
C. Bechstein.

KĄPIELE RZYMSKIE
FAJANSA
PIERWSZORZĘDNY ZAKŁAD KĄPIELOWY
Łaźnie i wanny otwarte codziennie od godz. 9-ej rano do 9-ej w., oprócz niedziel i świąt.
w Środy od 9 -5 pp.
Łaźnie dla pań.
Krakowskie-Przedmieście 58.

OD BÓLU GŁOWY
„NERWOMIGREN.-MOTOR"
W OPŁATKACH
Warsz. Tow. Akc. „MOTOR", Marszałkowska 23.

Przeciw odmrożeniom
CONGELIN
WIĘCKOWSKIEGO
Marszałkowska 110, apteka.

WYDAWNICTWO
GEBETHNERA I WOLFFA
MODLITWY ZA OJCZYZNĘ
Zebrane przez H. M.
Zbiór najcelniejszych modlitw, psalmów, pieśni i hymnów narodowych od najdawniejszych do najnowszych czasów.
Cena z dod. droż. M. 2.20.



Najprostszy wypróbowany sposób pozbycia się bólów, wywołanych gośćcem, reumatyzmem, podagrą, nerwobólami, ischias, postrzałem, darciem, lub łamaniem, katarem, zapaleniami, hiszpanką i t. d. Bierze się kawałek Rheumonu, zwilża alkoholem i przykłada na bolące miejsce. Rheumon wywołuje samoistnie masaż i usuwa najdotkliwsze bóle. W całym świecie używana ze skutkiem niezawodnym metoda. Rheumon otrzymać można w każdej aptece i składzie. Skład: apteka Barcza, Marszałkowska 94.

Perfumerja i Kosmetyka wyt. Sas-Warszawski, Warszawa, Krucza 47-a, telefon 129-70.

Redakcya: ZDZISŁAW DĘBICKI, ARTUR OPPMAN (OR-OT), ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI. Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF.

Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Maryensztad 8.

Księgarnie GEBETHNERA i WOLFFA

Warszawa — Lublin — Łódź — Poznań
Kraków G. GEBETHNER i S-ka

polecają prace

Henryka Cederbauma

Jak napisać testament własnoręczny?

Kto może spisać testament. Kto może otrzymać przez testament. Czem rozporządzać wolno· Różne rodzaje zapisów. Egzekutorowie testamentu. Forma testamentu. Zachowanie testamentu. Wykonanie testamentu, Wzory testamentów, Wyd. 3-ie przerob. i powiększ. Cena z dod. drożyź. Mk. 6.60

Ze wspomnień Aplikanta

Cena z dod- drożyź. Mk. 3.30,

Adwokatura w Królestwie Polskiem

LUŹNE KARTKI

Rola adwokata. Walka o prawo i prawdę. Stosunek do sądu, stron i kolegów. Krasomówstwo. Etyka zawodowa. Organizacye adwokatury. Rozwój adwokatury.
Cena z dod. drożyź. Mk. 1.40

Bezrobocie wobec prawa

Cena z dod. drożyź. Mk. 1.10.

Powstanie Styczniowe

Wyroki Audytarjatu Polowego z lat 1863, 1864, 1865 i 1866
Cena z dod. drożyźn. Mk. 8.25

SŁOWO I PISMO WOBEC PRAWA

Szkic} Wyd. 2-ie powiększone. Cena z dod. drożyź. Mk. —.75

Wyrok Audytarjatu w sprawie „Rządu Narodowego" w 1864r.
Cena z dod. drożyź. Mk. —.55.

Ze wspomnień kandydata

Cena z dod. drożyź. Mk. —.85.

WYDAWNICTWA GEBETHNERA i WOLFFA

Dr. med. Matylda Biehler

HIGIENA DZIECKA

Z rycinami w tekście
Wydanie czwarte uzupełnione
Cena z dod. droż. Mk. 22.—

Podręcznik HIGIENY

Z rycinami w tekście
Wydanie trzecie uzupełnione
Cena z dod. droż. Mk. 27.50

Dr. med. Wacław Biehler

POMOC DORAŹNA

w wypadkach nagłych

Pielęgniarstwo oraz
Krótki rys anatomii i fizyologii.
wyd. czwarte poprawione i uzupełnione z 115 rysunkami w tekście.
Cena z dod. droż. Mk. 16.50

Księgarnie GEBETHNERA i WOLFFA

Warszawa — Lublin — Łódź — Poznań
Kraków G. GEBETHNER i S-ka

otrzymały na skład główny: Mk. fen.

Archutowski Roman Ks. Historja kościoła Katolickiego w zarysie. IV wydanie.
W oprawie karton 15.—
Balzac. Cierpienia wynalazcy. Przełożył Boy 21.—
Froń J. Hodowla bydła. Z 144 rysunkami 8.—
Glass J. Ewangelicy polacy w świetle dokumentów urzędowych 10.—
Glass J. ks. Leopold Otto jako pastor polski. Przemówienie w dniu 2 listopada 1919 roku, podczas obchodu pamiątkowego w kościele Ewangelicko-Augsburskim w Warszawie. 2.—
Goursat E. Kurs analizy matematycznej. Wyd. II całkowicie przerobione. Tom II Cz. 1 Przekład, dokonany przez T. I. Łazowskiego 12.—
Jankowski Józef. Chrystus na wojnie. Poezye 2.—
Krzemicki Leon Dr. Choroby weneryczne. Przyczyny. Objawy. Przebieg. Leczenie. Zwalczanie 4.—
Ligocki E. Ognie Werony. Poezye. Serya III. 5.—
Lipkowski J. Prawidłowa organizacja szkolnictwa w Polsce. Nowoczesne metody pedagogiczne. Obecny stan szkolnictwa w różnych krajach. Całkowity szemat szkolny. Terminatorstwo. Kursy zawodowe 16.—
Łubieńska T. Paź złotowłosy (Bajka). Z ilustracjami Jerzego Kożuchowskiego 25.—
Piekarski A. Dr. Zarys bakterjologii roiniczej 10.—
Prace matematyczno-fizyczne. Wydawane przy współudziale Wł. Natansona, J. Puzyny, S. Zaremby i K. Zorawskiego przez S. Dicksteina Tom XXX 40.—
Rodowicz St. inż. Wagony o nadwoziu przenośnem dla przewozu ładunków drogami żelaznemi, bitemi i wodnemi 5.—
Strasburger E. Podatki wojenne. 6.—
Szerer M. Związek narodów. 2.50
Tomicka-Petrażycka J. Biblia na Wawelu 16.50
Wojnarowska Zofja. Księgi miłości. Poezje. 24.—
Do cen powyższych dolicza się 10% dod. drożyźnianego

Nakładem Gebethnera i Wolffa

ukazały się w ostatnich tygodniach następujące podręczniki:

Mk. fen.

Baranowski M. Pedagogika wyd. X. 8.—
— Dydaktyka uzupeł. „Zasadami logiki", wyd. 8. 7.50
Berger H. Łatwa metoda języka franc. wyd. X· (z kluczem) brosz. 10, karton 13.—
Biernacki M. M. Zasady muzyki przyjęte i zalecone przez Konserwatoryum Państwowe. Wyd. 4, przerobione i uzupełnione. 25.—
Bogucka C. i Niewiadomksa C. Wypisy na kl. I. Wyd. 9. 11.—
— Wypisy na kl. III, wyd. 6. 10.—
— „ „ IV, wyd. 3. 13.—
— Nauka stylistyki 13.—
— Podręcznik do ćwiczeń i systemat. dyktanda wyd. IV. 7.50
Borowiecka M. i Stattlerówna H. Początki geometryi. Przykłady i ćwiczenia praktyczne cz. I, wyd. 3. 2.50
Bruner L. i Tołłoczko S. Chemja organiczna, wyd. 3 uzupeł. 18.—
— Chemja nieorganiczna wyd. 5, z 88 fig. w tekście i tablicą widmową. 20.—
Dzierżanowska M. Gramatyka języka polsk., wyd. X. 8.20
Dyakowski B. Nauka o rzeczach i przyrodzie dla niższych klas szkół powsz. cz. I z 17 ryc. 2.80
cz. II z 39 ryc. 6.—
Noiszewski K. Podręcznik do badania ostrości wzroku dla studentów i lekarzy. 5.50
— Tablice do badania ostrości wzroku. 10.—
Rudnicka A. Zbiór zadań arytm. cz. IV. 5.40
— Zbiór zadań arytm. Rok II, wyd. 7. 3.20
Sochaczewski S. Z. PPuł. Poradnik polowy i bojowy podoficerów jazdy. Zatw. przez M. S. Wojsk 12.—
Totdhunter-Kwietniewski. Algebra cz. I, wyd. IV. 12.—
Wachholtz L. prof. Medycyna sądowa.
Wachholz L. prof. i St. Ciechanowski. Technika sekcyi zwłok. Protokół sekcyi i orzeczenie 30 przykładami i 3 rycinami. 25.—

ukażą się w czasie najbliższym:

Bogucka C. i Niewiadomska C. Pierwsza książka do czytania, wyd. 9.
— Druga książka do czytania, wyd. 11.
— Wypisy na kl. II, wyd. 8.
— Nasi pisarze cz. I, wyd. II-e.
Czapczyński T. Metodyczny rozbiór „Pana Tadeusza" w formie pytań.
Mellerowicz K. Narrations Amusantes, wyd. III, przejrzane i uzupeł. Z ilustracyami.
Olszewski R. Elementarz polski dla szkół początkowych cz. I, wyd. IV, i cz. II a.
Rudnicka A. Zbiór zadań. arytm. Rok III, wyd. 4.
Szober St. Niewiadomska C. i Bogucka C. Nauka pisowni I B.
Nauka pisowni II B.
Szober St. Niewiadomska C. i Bogucka C. Nauka pisowni I A. 5.20
— Nauka pisowni II A. 5.80

w druku:

Chrząszczewska J. i Warnkówna J. Rok czytania na kl. I, wyd. 4·
—. Rok czytania na kl. II-ą.
Jachimecki Zdzisław Dr. Historya muzyki polskiej w zarysie.
Kawecki i Tomaszewski. Fizyka i krótki rys kosmografii.
Rudnicka A. Zbiór zadań arytm. Rok I, wyd. 8.
Smolińska Br. Elementarz polskiego dziecka, cz. II.

J. K. PARNAS

WSKAZÓWKI i OBJAŚNIENIA

do
ĆWICZEŃ z CHEMII LEKARSKIEJ
(Kurs Uniwersytetu Warszawskiego).
Cena wraz z dod. droż. Mr. 6.60

BIBLIOTEKA Wyższej Szkoły Handlowej

DAWID RICARDO

Zasady EKONOMII POLITYCZNEJ I PODATKOWANIA

z ostatniego wydania angielskiego przełożyła
Dr. M BORNSTEINOWA
Cena Mk. 23.—

WARTOŚĆ i CENA

WYPISY z dzieł autorów polskich i obcych
z przedmową
WŁADYSŁAWA ZAWADZKIEGO
Cena Mk. 20.—

Prawdziwy lek familijny

PASTYLKI VALDA

są niezbędne

dla **dziecka** udającego się do szkoły, dla **osoby** w wieku podeszłym, wychodzącej na powietrze, dla **osób dorosłych**, udających się do swych zajęć

dla ZABEZPIECZENIA
ICH NARZĄDÓW ODDECHOWYCH
lub LECZENIA

kataru, bólów gardła, zapaleń krtani, zapaleń oskrzeli, grypy, dusznicy rozedmy płuc.

Lecz trzeba stosować wyłącznie

prawdziwe **PASTYLKI**

VALDA

sprzedawane jedynie w pudełkach z napisem

VALDA

Wydawnictwo

GEBETHNERA i WOLFFA

LUCJAN RYDEL

Dzieje Polski dla wszystkich

Z przedmową H. MOŚCICKIEGO

NAJBARWNIEJSZE, NAJDOKŁADNIEJSZE, A DLA KAŻDEGO PRZYSTĘPNE

ujęcie historji ojczystej przez słynnego poetę.

Najpopularniejsza historj Polski dla domu i szkoły.

Pierwsz historja polski, pisana i wydan bez cenzury zaborców

DZIEJE POLSKI DLA WSZYSTKICH rozwiązują nadzwyczaj trudne zadanie stworzenia prawdziwie popularnego wykładu historji ojczystej. Niesłychanie jasne — a nie przesadne w tłomaczeniu rzeczy prostych, dokładne — a nie przeładowane szczegółami, pisane prześliczną polszczyzną jednego z pierwszych pisarzów, wyczerpujące całość naszej historji — **„DZIEJE POLSKI DLA WSZYSTKICH"** staną się z pewnością najpopularniejszą książką na ziemiach polskich i trafią naprawdę do wszystkich, przedewszystkiem zaś do ludu i młodzieży.

Wydanie staranne.

Piękna i efektowna okładka kolorowa J. BUKOWSKIEGO.

Cena Mk. 6 + 10% dod. drożyź.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Księgarnie GEBETHNERA i WOLFFA

Warszawa—Lublin—Łódź—Poznań

Kraków, G. Gebethner i S-ka.

otrzymały na skład główny:	Mk. fen
Balz c. Ojciec Goriot. Przełożył Boy	21.—
Boy. Studya i szkice z literatury francuskiej	25.20
Frejlich J Dr. La Pologne prusienne.	15.—
Gettlich Wład. (Capitaine Ordon) L'Emprise allemande sur la Russie	6.—
Goldflus Stan. Zajęcia z chemii w szkole średniej. Metoda prowadzenia chemii, oparta na doświadczalnej pracy uczących się	6.50
Grossek M. Dyalogi. Italiana.	2.—
— Medytacye. Synteza współczesności 2 tomy	10.—
— Niedziela Palem. Ballady mistyczne i inne utwory poetyckie	5.—
— Orzeł oślepły. Poezye	6.—
Gruszecki A. W. C. K. urzędzie. Powieść współczesna	12.—
Krzesiński A. Dr. Ks. Polska u stóp Maryi (Kazanie)	1.50
Lesage. Dyabeł kulawy. Przełożył Boy	21.—
Mazanowscy A i M. Podręcznik do dziejów literatury polskiej. wyd. 5-te przejrzane i uzupełnione	28.—
Meillet A. Zarys gramatyki porównawczej języków indoeuropejskich. Z III-go i z IV-go wyd. oryginału przełożył Dr. Stan. F. Michalski	15.—
Merunowicz T. Żydowska polityka narodowa obecnej doby	4.—
Mniszek H. Pluton i Persefona. Baśń fantastyczna na tle mitologicznem	20.—
Niemieckie zamierzenia kolonizacyjne w Polsce. Referat wydziału spraw przejściowych Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych	6.—
Nitsch K. Mapa narzeczy polskich z objaśnieniami	2.50
Podhorska-Okołów (Łozińska) Stef. Tarcza. Poezye	12.—
Racine. Fedra. Przełożył Boy	10.50
Radliński Ign. Jehowa—mrok średniowiecza i król pruski, Wilhelm II	15.—
Szyjkowski M. Legendy o wojnie	3.60
Tetmajer Wł. Istota sporu czesko-polskiego	3.60
Winkowski J. Ks. Egzorty do uczniów szkół średnich. Tom II	14.40
Zawiliński R. Nasz język ojczysty w przeszłości i teraźniejszości (z mapką)	8.—

Do cen powyższych dolicza się 10% dod. dróż.

„W SŁOŃCU"

Dwutygodnik dla dzieci i wychowawców pod kierunkiem S. SEMPOŁOWSKIEJ i J. MORTKOWICZOWEJ.

Wychodzi w Warszawie, rocznie mk. 48 z przesyłką pocztową mk. 50.40.

Polskie marki pocztowe.

Katalog prac konkursowych

Cena Mk. 5.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Skład główny w księgarniach GEBETHNERA I WOLFFA

Warszawa—Lublin—Łódź

KSIĘGARNIE GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie, Lublinie i Łodzi

polecają prace

Fr. Rawity-Gawrońskiego:

Stefan Bobrowski i Dyktatura Langiewicza w r. 1863 Cena Mk. 3.—

Włodzimierz Antonowicz. Zarys jego działalności społeczno-politycznej i historycznej. Mk. 5.—

Materyały do historyi polskiej XIX w. Działalność emigracyi z r. 1831 na terenie Turcyi do pk ju paryskiego. Mk. 10.—

Rok 1863 na Rusi. Tom. II. Ukraina, Wołyń, Podole Mk. 10.—

Wyprawa Wołyńska. Epizod z roku 1863 Mk. 3.—

Do cen poyższych dolicza się 10% dod. drożyźn.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

MARYA KONOPNICKA

(Jan Sawa)

Śpiewnik historyczny (1767—1863)

wydanie nowe Mk. 7.50 + 10% dod. drożyź.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Wydawnictwo GEBETHNERA i WOLFFA

KARTA Z ZAMKNIĘTEJ KSIĘGI BYTU

Z rewelacyj, przesyłanych p. J. Domańskiej, zebrał i ułożył Dr. Fr. Habdank.

Książka niniejsza stanowi *zbiór komunikatów z tamtego świata* przesyłanych znanemu w Warszawie medyum, p. Jadwidze Domańskiej, rzekomo przez zmarłego przed dwoma laty D-ra Juljany-Ochrowicza. Zaraz po jego śmierci p. Domańska odczuła żową konieczność dalszego z nim kontaktu i pod wpływem hypnozy, zastosowanej przez przyjaciela zmarłego D-ra Fr. Habdanka, jęła przy pomocy ekierki dyktować rewelacye ducha rzekomego D-ra Ochorowicza. W ten sposób powstała książka niniejsza, zawierająca przeszło 12 arkuszy druku. Jeśli wziąć pod uwagę, iż ś. p. Dr. J. Ochorowicz przez całe swe życie zajmował się gorąco psychologją, medyumizmem i spirytyzmem (Eusapja Palladino), to rzekome jego rewelacye pośmiertne nabierają zgoła szczególnego znaczenia.

Książkę tę zebrał, opatrzył uwagami i poprzedził cenną przedmową polemiczną przyjaciel zmarłego, Dr. Fr. Habdank, jeden z najbardziej znanych lekarzy warszawskich.

Cena Mk. 11.— + 10% dod. droż.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Agentury „Tygodnika Illustrowanego": w Lublinie Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Krak.-Przedmieście, w Łodzi: Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Piotrkowska 8, oraz Biuro „Promień", Piotrkowska 81, w Krakowie: Księgarnia Gebethnera i Sp., Rynek 23, we Lwowie: E. Sokołowska, Jagiellońska l. 7. W Poznaniu: Księg. Gebethnera i Wolffa Rycerska 36. Księgarnia Polska W. Tempłowicz. M. Niemierkiewicz, Plac Wolności 3. W Warszawie: kantor redakcyi „Tyg. Illustr", Zgoda 12.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą.

Główna agentura na Amerykę: The Polish Book Importing C-o Inc. New-York, 83 Siecond Avenue.

Agencya ogłoszeń: Tow. Ako. „Reklama Polska", Warszawa, Jasna 10, tel. 229-42, 229-43, 229-44. W Poznaniu filja Tow. Akc. „Reklama Polska" ul. Marcinkowskiego 6.

Redakcya: ZDZISŁAW DĘBICKI, ARTUR OPPMAN, ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI. Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF.

Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Maryensz ad 8.